

DZIS! JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 26 maja 1946 r.



CW 9013

Nr. 20 (26)

Witold Bieńkowski

Rozważania polityczne 2.

POLSKIE BIEDY

Na obecną rzeczywistość polską składają się tak wiele czynników, że bodaj wszystkie próby dania pełnego obrazu tej rzeczywistości muszą kończyć się niepowodzeniem. Wyraźne tendencje do upraszczania trudnych zagadnień dzielą Polaków na kilka obozów. Polityczne zaś wyrażanie wszelkich różnic pogłębia zdrażnienia, czyni prawie niemożliwym osiągnięcie porozumienia między jednym obozem i drugim, choćby nawet obozy te w granicach jednej koncepcji ustrojowej i państwowej się mieściły.

Dążenie do szybkich osiągnięć i efektów politycznych ze strony wszystkich partnerów wewnętrznego układu sił politycznych w Polsce wpływa na potęgowanie nastroju nerwowości w Kraju. Przejawy tej nerwowości prowadzą do pożałowania godnych skutków. W skutkach swych bowiem wszystkie demonstracje polityczne nie kwalifikują się na inną nazwę, jak na nazwę awantur — nie mają bowiem koncepcyjnego uzasadnienia, a tym samym nie mogą rościć pretensji do osiągnięcia jakiegokolwiek wpływu na polską rzeczywistość.

Byłoby jeszcze jednym uproszczeniem, tak szkodliwym jak wszystkie inne, nazywanie demonstracji politycznych awanturami, potępienie ich lub pochwalenie, bez sięgnięcia tak do przyczyn nerwowości, jak i do społecznych skutków wszelkiego rodzaju ekscesów. Byłoby również błędem zastanawianie się nad 3-majowymi wypadkami w Krakowie, lub wcześniejszymi w Szczecinie, tylko od strony kwalifikowania pobudek kierujących demonstrantami bez jednoczesnego podkreślenia błędów i niedociągnięć w lokalnych zarządzeniach wykonawczych tych, przeciw którym demonstrowano.

Na rzeczywistość polską składają się suma wielu czynników. W sumie tej jest bezwątpienia i obca propaganda, i rodzimy rozum i bezrozum, ideowość i karierowiczostwo, dobra wola i zła wola, entuzjazm i sceptycyzm. Jest również polityka i politykieria. Nad wszystkim jednak ciąży nieufność człowieka do człowieka i małość ludzka, rozumiejąca tylko swoje racje, niepokojliwa, małoduszna i nie widząca racji nadrzędnych, stanowiących o wielkości i sile narodów.

NERWOWE AKCJE I KONTRAKCJE.

Upraszczenie zagadnień jest bodaj polskim systemem myślenia politycznego. Dla skomplikowanych zagadnień polskiego państwowego bytu lub niebytu używa się określeń jak najbardziej prostackich. Określenia takie mają oczywiście również prostackie znaczenie dla społeczeństwa. Zagadnienie wojny lub pokoju, stanowiące o życiu lub śmierci milionów, o przetrwaniu lub ostatecznej zagładzie resztek kultury europejskiej — jest rozwiązywane u nas tak łatwo, jak łatwo rozwiązuje się drobne problemy polityczne. W oczekiwaniu lub nawet pożądanu wojny przez pewną część społeczeństwa nie ma pierwiastka heroizmu. Na tle pragnienia zmiany stosunków politycznych istnieje mgliste wyobrażenie jakiegoś kataklizmu, który musi przyjść dlatego tylko, że nie może być tak, jak jest. Psychoza wojenna pewnej części społeczeństwa nie szuka uzasadnień, nie myśli, nie analizuje. Ma w sobie coś z katastroficznego defetyzmu. Jest to więcej niż emi-

gracja wewnętrzna. Jest to dowodne stwierdzenie niedoświadczenia, bezkonceptyjności, osobistej nieprzydatności do współtworzenia takiej rzeczywistości polskiej, która wymaga oparcia się na racjach nadrzędnych.

Szczerze współczuję tym, którzy usiłują przekonać mnie, że wojna jest nieunikniona, że będzie za miesiąc, na jesień, lub najpóźniej na wiosnę przyszłego roku. Współczuję im nie dlatego, że im nie wierzę. Współczuję im i wówczas, gdybym był przekonany o wybuchu wojny jutro. Wojna bowiem nie jest zbawczą koncepcją na biedę polską — jest mnożeniem wszystkich bied polskich przez największą biedę — przez brak twórczego stosunku do przerażającego wielkich potrzeb polskich.

Czemu tyle o wojnie? Dlatego, że za psychozą wojenną czai się zhora tymczasowości, paraliżująca wolę i unicestwiająca chęć do pracy. Dlatego, że w psychozie wojennej wszystko jest dobre i zbawcze, poza pracą konstruktywną. Dlatego, że psychoza wojenna usprawiedliwia zbrodnie, szerzenie zamętu, wywołuje konieczność powstawania Polaka przeciw Polakowi. Dlatego, że psychoza wojenna jest panowaniem nerwów, przyczyną nerwowych akcji i nerwowych kontrakcji.

Śmiesznie jest pisać o „polskiej wojnie nerwów”. Przykro jest przypominać demonstracyjne skandowania nazwiska Miłkołajczyka, lub 1-majowe kukły urzędującego wicepremiera Rządu, niesione przez zwolenników tegoż Rządu. Przykro jest do całej gmatwaniny naszych wewnętrznych stosunków dodawać stwierdzenie, że żadna ze stron nie jest wolna od nerwowego podchodzenia do spraw wspólnych. Wspólnych wszystkim, bo do spraw polskich.

3-majowe demonstracje studenckie w Krakowie są tylko jednym z tragicznych epizodów polskiego klimatu nerwowości. Tak samo tragicznym, jak to, że przeciwdziałanie niepojętym, bezkonceptyjnym wybrykom urosło do znaczenia represji.

I jeśli komuś zależało na tym, aby w Krakowie padły strzały i aby połała się krew, jeśli czynniki wyrotowe potrafiły zagrać na psychozie nerwów i młodzieńczym nieopanowaniu studentów — to już napewno nie zależało nikomu mądrym i realnemu na tym, aby kontrakcja przeciw tragicznym wybrykom przybrała charakter represji.

Na klimat nerwowych akcji i kontrakcji, na psychozę wojenną pewnej części społeczeństwa składają się z kolei inne czynniki. Podobno rozumowe, podobno mające coś ze znajomością stosunków międzynarodowych i coś ze strategii. Warto i na nie spojrzeć pokrótce, aby choć w drobnej części przyczynić się do wyjaśnienia naszego życia z pewnej polskiej biedy — lekkomyślnego samozakłamania.

BEZIDEOWOŚĆ I WYPACZONE IDEE.

Nie jestem skłonny operować frazami nieudolnej propagandy. Nie każde morderstwo i nie każdy rabunek, popełniane przez t. zw. „ludzi z lasu” podciągane we własnym osądzie pod dyktando planu operacyjnego jakichś krajowych czy zagranicznych konspiracyjnych

ośrodków dyspozycyjnych. Zbyt dobrze znam polskie metody pracy konspiracyjnej, aby móc sądzić, że są one dzisiaj zasadniczo różne od metod za czasów okupacji. Jestem przekonany o rozwieleniu się najordynarniejszego bandytyzmu, o istnieniu band dezertersów, wykołajców, złodziei i najgorszych szumowin społecznych. I nie ich istnienie jest jakimś zasadniczym problemem społecznym. Problemem musi być to, że w dziwnej psychozie pewnej części społeczeństwa istnieje jak gdyby afirmacja dla popełnianych morderstw i rabunków. Ze zbyt pochopne przez propagandę podciąganie takiej lub innej kanałii do wspólnego mianownika działalności NSZ czy W. i N-u przyczynia się w dużej mierze do powstawania u pewnej części społeczeństwa „zrozumienia dla politycznych pobudek działania” u jakiegoś bliżej nieokreślonego bandziora z Psiej Wólki. Afirmacja społeczna wyczynów szerzących zamęt, afirmacja choćby zajęć krakowskich prostym uczuciem ulgi „że jednak coś się dzieje” należy do rzędu chorób bynajmniej nie nieuleczalnych. Wystarczy bowiem dać rzeczywisty obraz stosunków, panujących w „wielkim świecie” spraw polskich, na który stawia u nas wielu, aby z większą odpowiedzialnością ustosunkować się do spraw krajowych.

Stawiają u nas niektórzy na polskie środowisko emigracyjne w Anglii. Stawiają inni, i tych jest więcej, na korpus Andersa w Italii. Wyobrażenia wojenne ze „stawianiem” na to coś nieznanego, legendarnego, powtarzającego się zbyt często w oficjalnych wypowiedziach propagandowych — obracają się wokół przeświadczenia, że jednak muszą istnieć przyczyny, dla których Anders jest „pojętym”, dla których emigracyjne środowisko londyńskie ma nie tylko możliwość życia, ale i działania. To przeświadczenie, wydedukowane ze strzępów wiadomości dochodzących z „wielkiego świata”, kształtuje u wielu ich nietwórczy stosunek do rzeczywistości, ich emigrację wewnętrzną, wreszcie nawet afirmację czynów niesłusznych i niemoralnych.

Żołnierze II korpusu w Italii wierzą w wojnę. To prawda. Wojna stała się dla nich jedyną nadzieją zmiany najbardziej nieznosnych warunków psychicznych, w jakich żyją. To są najniezwyklejsi z niezszczęśliwych. Zżera ich nostalgia za Krajem, zżera niepokój o bliskich, męczy i wyczerpuje koszarowy tryb życia, owo zbrojne, permanentne wyczekiwanie, które stało się treścią życia. Ciężka, szarpiąca treścią.

Czemu nie wracają?

Jak nazwać ich „koncepcję” trwania, opierającą się na wierze w bliską wojnę, w porównaniu z bezkonceptyjnością tych, którzy powinni lepiej wszystko wiedzieć — z bezideowością polskich londyńczyków? Ci nie wierzą w wojnę. Są cyniczni. Nieskoszarowani. Boją się polskiej nędzy i boją się odpowiedzialności.

A czas płynie. Z okrucich czyichś wypaczonych i nierealnych idei, z bezideowości innych buduje się podstawy pod wymaginowany polski świat. Nieodpowiedzialnym byłby ten, kto ośmielił by

się powiedzieć, że jest dobrze. Jest źle. Zbrodnia jest cyniczne stwierdzenie, że „im gorzej tym lepiej”. Aby było lepiej, trzeba ogromnego samozaparcia. Nazwania własnego głupstwa głupstwem, cynizmu — zbrodnią, a bierności — wstecznictwem.

POSZUKIWANIE PRAWDY.

Prawdę jest trudno znaleźć w polityce. I dlatego nie poszukuje prawdy ten, kto wyłącznie w osiągnięciach politycznych widzi powodzenie wyznawanych idei. Polityka jest wielką sztuką. Jej funkcjonalny charakter poszukiwania jak najlepszego ułożenia stosunków między ludźmi nabiera żywej wartości w zależności od tego, kto politykę robi. Mistrz albo partacz. Człowiek idei lub gracz. I dlatego przywykło się odróżniać politykę od oszustwa, polityka od politykiera.

Polityk zpa doskonale nie tylko atuty, jakimi rozporządza — zna jeszcze lepiej teren swojej polityki, jest mistrzem w tworzeniu takich koniunktur politycznych, jakie odpowiadają nie którymś fałszywym wyobrażeniom lub pobożnym życzeniom, ale prawdziwemu społecznemu czasowi, dobru i aktualnym potrzebom państwa. Jest stara prawda, że dobry polityk nie bankrutuje nigdy — politykier zawsze. W skorowidzach nazwisk, wyznaczających drogi historii zapisano wielkimi literami tych, którzy w polityce kierowali się prawdą, bezkompromisowym przeświadczeniem o jedynej słuszności dróg, po jakich winien w danej epoce kroczyć ich naród, ich państwo i wspólny wszystkim państwom świat.

Kryteria poznawcze są poza polityką. To jasne. I dlatego poszukiwanie prawdy społecznej jest dziedziną inną od politycznej dziedziny jej realizowania.

Wykład o polityce jest potrzebny przede wszystkim tym, którzy od polityki odzęgnują się jak od złego ducha. Tym, którzy przez negatywny stosunek do polityki nieświadomie sprzeciwiają się jakimkolwiek układowi stosunków między ludźmi, między partiami, między państwami świata. I choćby kryteria poznawcze zaprowadziły, wydawałoby się, człowieka za niedościgłe wyżyny poznania — zmarnowany jest trud bez mądrego wysiłku znalezienia dróg realizacyjnych dla poznanych i przyjętych prawd.

Anarchia brzydzi się polityką. To prawda. Czasem głupstwo ukocha politykę. I to także prawda. Wśród polskich bied jest i taka, że anarchia z głupstwem w parze znajduje poparcie większe, niż przewidujący rozum i taka racja, której na imię dobro państwa.

Poszukiwanie polskiej prawdy jest wielkim mozołem. Niby jest wyraźna, niby nakreślona, niby wytyczona, nazwana wielkimi słowami i poparta wielu osiągnięciami, a mimo to — przez bardzo wielu nie odnaleziona.

Jest prawdą, że w obecnej rzeczywistości polskiej walczą z sobą dwa obozy ideologiczne. Jest prawdą, że chrześcijaństwo i marksizm podług różnych i obcych sobie kryteriów oceniają prawdę czasu. Jest również prawdą, że polityczne osiągnięcia marksizmu są równoznaczne z zagrożeniem pewnych pozycji społecznego chrześcijaństwa.

Walka? Montowanie twierdz i barykad? Głupstwo! Nie czas na ostatnie pozycje obronne i nie czas na katastroficzny defetyzm. Ponad anarchią i ponad głupstwem są racje mocniejsze. Są takie racje, które zrozumie każdy — chrześcijanin i marksista — racje wspólnego dobra państwowego.

O ROZUMNY ŁAD WEWNĘTRZNY.

Punktem wyjścia dla niniejszego artykułu było stwierdzenie panującej w stosunkach między ludźmi wzajemnej nieufności. Naprawdę nie można wyobrazić sobie jakiegokolwiek ładu wewnętrznego, jeśli nie ma być ładu systemu policyjnego, bez całkowitej radykalnej zmiany atmosfery.

Przyszedł czas na realną i trzeźwą ocenę rzeczywistości. Przyszedł czas na dane wyraźnych odpowiedzi samym sobie na jakiej konkretnej bazie opieramy nasze wyobrażenia możliwości zmiany stosunków. Trzeba, nareszcie trzeba, zdobyć

się na koncepcję wyraźną, na zajęcie uczciwego stosunku, jeśli nie do przeciwnych ideologicznie partii politycznych, to po prostu do Polski. Stosunek do Polski nie może być oparty na mglistych wyobrażeniach jakichś nieokreślonych bliżej zmian, lub na katastroficznym defetyzmie wojennym. Na hazard wolno narazić tylko siebie. Nie stawia się Polski na kartę, przynajmniej w tym sensie, jak nie stawia się na kartę matki, żony, lub dziecka.

Polska jest konkretem a nie słowem do deklamowania i nie sprzętem, który można kopnąć i odrzucić, jeśli nie jest takim, jakim go widzieć pragniemy.

Chcemy Polski chrześcijańskiej. Chcemy Polski gwarantującej ładu sprawiedliwy. Chcemy Polski bez głodnych i bez uciśnionych. Chcemy Polski demokratycznej, gwarantującej równy start życiowy i równą prawa wszystkim obywatelom. Chcemy Polski posiadającej należne

Jej miejsce w gronie państw świata.

To są aksjomaty. Tak wyraznie i tak bezsporne, że wypisywanie tych zdań ma brzmienie hasła wiecowych i propagandowych sloganów.

Ale właśnie w tym jest prawda. Znać możliwości realizacyjne — oto zadanie. Nie osiągnie się ich ani przez anarchię, ani przez polityczne głupstwo. Ani przez trzeciomajowe grupy, ani przez bezkonceptyjne demonstracje.

Droga jest znacznie trudniejsza. I na tę drogę trudną, na przełamanie w sobie wszystkich oporów, na umiejętność nazywania głupstwa głupstwem, cynizmu zbrodnią i bierności wstecznictwem potrzeba wielkiego entuzjazmu. Entuzjazmu młodych. Tych, których nie skaziło jeszcze filisterstwo starych przyzwyczajęń i których nie dotknęły truizmy wygodnych „mądrości“, patrzących wstecz i lękających się nieznanego jutra.

Witold Bienkowski

i teraz dopiero ewakuowana jest w myśl przymusowego planu wysiedlenia.

Wysiedlanie przeprowadzane obecnie, cechuje sprawna organizacja w oparciu o dosyć gruntownie przygotowane spisy i segregację, przede wszystkim co do fachowości i wynikającej stąd potrzeby chwilowego zatrudnienia w naszym przemyśle.

Niestety, podział ludności niemieckiej podług kryterium czasu przybycia nie jest prawie wcale przeprowadzony, dość słaba jest też kontrola przeszłości. Przeszlizgują się w ten sposób nieraz przez sieci organów bezpieczeństwa dosyć grube ryby z Gestapo, SA i t. p. Przeszlizgiwaniu temu pomaga też „dobre serce“ komisji angielskich, dorzucających do niedawna jeszcze do odjeżdżających transportów dosyć liczne grupki ochotników na wyjazd. Zgromadzonych licznie na punktach kontrolnych w Kaławsku, Szczecinie i innych.

Co dziwne, i w ramach tej akcji w początkowej fazie, mimo smutnego doświadczenia ubiegłego roku, brakło taboru, co sprawiło, iż z Dolnego Śląska zamiast 4 składów dziennie, odjeżdżały tylko 2. Szczęśliwie, brak taboru został ostatecznie usunięty.

Zrzadka, ale i dziś jeszcze zdarzają się wypadki wysiedlania Polaków miejscowych, którzy na skutek tych czy innych przyczyn nie zdążyli na czas wybrać zaświadczenia obywatelstwa, albo wnioski ich niesłusznie zostały odrzucone.

Mówiąc o wysiedlaniu, trzeba z naciskiem podkreślić jedno jeszcze. Oto, wbrew wszelkim zawodzeniom niektórych czynników angielskich o rzekomo rozpaczliwych warunkach, w jakich znajdują się ewakuowani Niemcy — warunki są wyjątkowo dobre. Zaopatrzenie w opał i wikt, opiekę sanitarną, małe ilości ludzi w wagonach, jest bez zarzutu, wedle naszej opinii może nawet za dobre.

W dziedzinie polityki narodowościowej stoimy na Ziemiach Odzyskanych przed niezmiernie trudnym i złożonym egzaminem. Egzamin ten to sprawa całkowitego wysiedlenia Niemców i nadania pełni praw ludności autochtonicznej, ściśle z sobą związane. K. R. N. opracowała już ustawę o nadaniu obywatelstwa ludności autochtonicznej i niedaleki czas już dzieła nas od planowanego zakończenia akcji wysiedlenia. Stan, jaki zaistnieje po tych dwu olbrzymiej doniosłości wydarzeniach, zależeć będzie od pełnego wykonania planu projektowanej na dziś pracy, a znaczenie jego rozciągnie się na całe pokolenia.

Z zagadnieniem zarysowanych problemów polityki narodowościowej łączy się też blisko sprawy polityki w sensie szerszym.

Wrażeniem, jakiego doznaje się po dziś dzień, przebywając na terenach ziem zachodnich, jest brak pewnego stałego kośca politycznego. Wyrazimy to pełniej. Brak wypracowanego programu politycznego dla możliwie szybkiego przeprowadzenia procesu całkowitej repolonizacji i pełnego włączenia nowych ziem w organizm macierzysty. Program taki musi przede wszystkim cechować dalekowzroczność. Tymczasem cechuje go podejście typowo koniunkturalne, bez zrozumienia należytego psychiki ludności, ziemie Nadodrza zamieszkującej. Program polski zastępuje się namiastką — programami partyjnymi. „Klucz partyjny“ rozstrzyga częstokroć przed warunkami fachowości, poziomu moralnego i t. p. Zjawisko to niejednokrotnie było już podkreślane, a ocena jego conajmniej niestosowności znalazła swój wyraz w znamiennej rezolucji, zapadłej m. in. na Zachodnim Kongresie Dziennikarskim w Poznaniu. Oto jej tekst: „Zachodni Kongres Dziennikarski zwraca się do Rządu Jedności Narodowej i wszystkich partii politycznych, aby na terenach odzyskanych, zamieszkałych przez ludność autochtoniczną polską, osłabiły ostrze walk partyjnych i dążyły za wszelką cenę do utrzymania wśród tej ludności autorytetu władzy. W związku z tym Zachodni Kongres Dziennikarski zwraca się do wszystkich władz państwowych o kierowanie do administracji publicznej i do wszystkich innych dziedzin życia kul-

Eugeniusz Pauksztla

Rok na ziemiach odzyskanych (II)

Zagadnienia narodowościowe i polityczne

Sprawy Ziem Zachodnich odbijają się nadal żywym echem po całym kraju. Echem to szczególnie mocne było w ostatnich czasach, na co złożyło się wiele wydarzeń o charakterze ogólnopolskim. Tu zaliczyć trzeba Zachodni Kongres Dziennikarski z połowy marca w Poznaniu, obchody rocznic wyzwolenia w poszczególnych większych ośrodkach polskiego Zachodu, dalej wiążące się z tym wspaniałe uroczystości szczecińskie, czy wreszcie na olbrzymią skalę przez Polski Związek Zachodni zorganizowany Tydzień Ziem Odzyskanych (2 — 9 maja). Wymienione wyżej imprezy i obchody miały raczej charakter zewnętrzny. Nie brakło też i wydarzeń o tle raczej lokalnym, b. wewnętrznym, chociaż wiążących się silnie z ogólną problematyką społeczno-polityczną Odrodzonej Polski.

Oto akcja weryfikacyjna dobiega ku końcowi. Wysiedlanie Niemców obejmować zaczyna, prócz Śląska Dolnego i Pomorza Zachodniego, także Opole oraz Warmię i Mazury. Święta Wielkiejnicy znowuż przyniosły wiele ciekawych momentów o tle religijno-społecznym, głośnym echem na krótko przedtem odbiły się wiece PSL w Opolu i Szczecinie z udziałem Mikołajczyka. Niemate poruszenie w społeczeństwie polskim wzbudziła dalej mowa Churchilla, kwestionująca nasze granice zachodnie, przyczyniając się tym samym do zwrócenia w tę stronę ogólnej uwagi. Obserwacja wszystkich tych zjawisk w połączeniu z innymi daje nam możność nakreślenia pewnego obrazu rzeczywistości Ziem Zachodnich po rocznym panowaniu polskim. Rok bowiem już minął od objęcia pod skrzydła Orła Białego pradawnych ziem Bolesławów.

W dzisiejszym, gorączkowym powojennym tempie życia rok jest czasokresem dość długim, by można było w miarę obiektywnie spojrzeć z tej perspektywy na problem dziś najistotniejszy — problem Polski nad Nisą, Odrą i Pasieką. A dlatego, że problem to najistotniejszy, trzeba podejść do sprawy bez niedomowień, szczerze i otwarcie. Trzeba zdecydowanie podkreślić wszystkie pluse i minusy. Nie można przynikać oczu na fakta smutne, a różowe okulary nakładać wtedy, gdy chce się sztucznie wzmocnić wrażenie z czegoś rzeczywiście dodatniego.

Do twórczej krytyki i twórczej analizy potrzebne jest cięcie ostre. Potrzebny jest skalpel.

Niestety, ale polskość Ziem Zachodnich, tak zdawałoby się bezsporna, wymaga jednak jeszcze częstokroć argumentacji. Nie dziwne to ostatecznie, gdy chodzi o zagranicę, nieraz wrogo nastawioną do nowej granicy Polski na Zachodzie. Zastanawiające i smutne jest, że argumentacji takiej używać jest się zmuszonym czasem nawet i do Polaków. Smutne, ale rzeczywiste.

Argumentem najbardziej może realnym, bo żywym — jest człowiek. Polak, mieszkaniec tych ziem od dziesiątków

pokoleń, autochton z Opoła, Warmii czy Mazurów.

Jakżeśmy tęsknili zawcze do chwili, gdy złączeni będziemy z tą naszą ludnością z za „krwawego kordonu“ na zawsze już razem. Gdy zniknie już krzywdząca granica. Czytaliśmy Srokowskiego, Gieretycha, Bielskiego i Wańkowię, dumni byliśmy z tej odporności duszy polskiej, przez wieki stawiającej opór wynarodowieniu. Symbolika rodła, znaku Związku Polaków w Niemczech, stawała się symbolem ogólnopolskim, symbolem szlaku wiodącego do Wielkości.

Złączenie Ziem Zachodnich z „Polską, matką naszą“, jak głosiła pierwsza prawda Polonii w Niemczech, już od roku jest faktem dokonany. Od roku prowadzona jest na tych ziemiach polityka narodowościowa, z dewizą naczelną: „Nie zostawic ani jednego Niemca na Polskiej ziemi, nie utracić ani jednej kropli polskiej krwi“. Dewiza piękna i słuszna. Ale jak w praktyce?

Pierwszy etap polityki narodowościowej, który możemy określić mianem improwizacji, odbywał się w chaosie przyfrontowym, w stadium opracowywania ustaw weryfikacyjnych, przy rozpaczliwym braku ludzi odpowiednio do tych trudnych a wyjątkowo delikatnych zadań przygotowanych. Zrozumiałe są więc wyniki z tego okresu poważne błędy i niedociągnięcia. Zrozumiałe, że w komisjach weryfikacyjnych zasiadali ludzie wręcz do tej pracy nienadający się, że skutkiem tego wyrządzono wiele krzywdy ludności autochtonicznej polskiej: albo przez wysiedlanie niesłuszne jako Niemców, albo naodwrot, przez przyznanie tymczasowego obywatelstwa Niemcom rzeczywistym. W skutkach wielu Polaków, głównie z Mazurów i Warmii, zmuszonych zostało do opuszczenia kraju, a wielu Niemców do dziś dnia jeszcze paradyje po ulicach miast polskich jako „rdzenni Polacy“. W skutkach jeszcze dalszych, znów fakt horralndalny zaistnienia w Lipsku „Związku Warmiaków i Mazurów“, zaś w Berlinie „Związku Polaków wysiedlonych z Polski“, albo coraz częstsze konstataowanie wśród członków wytropionych komórek „Wehrwoflu“ Niemców, legitymujących się tymczasowym zaświadczeniem narodowości polskiej.

Okres prowizorium w polityce narodowościowej wreszcie jednak się skończył. Przeprowadzona została selekcja składów poszczególnych komisji, wprowadzono zasadę przymusowego stawiennictwa na rozprawę osób składających wnioski o przyznanie narodowości polskiej, a nie jak bywało to częstokroć przed tym, za rodzinę bliższą i dalszą składającą się z kilkunastu osób, stawał ten jej członek, który jedyny umiał złożyć słów parę po polsku i świadczył za resztę nieobecnych; opracowane zostały gruntowne wskazówki i instrukcje dla użytku komisji weryfikacyjnych, jak choćby wydana nakładem PZZ świętna broszura dra J. Izdebskiego, wprowadzono system kontroli, paraliżujący w dużej mierze łapownictwo i protekcjonizm, dla skorygowania

wreszcie mylnych decyzji komisji pierwotnych zostały powołane specjalne komisje weryfikacyjne odwoławcze.

Stosunki w tej dziedzinie bezwzględnie uległy dużej zmianie na lepsze. Ale w myśl starej zasady, że łatwiej rujnować niż budować, skandaliczne błędy pierwszego okresu nie dadzą się zawsze już wszystkie naprawić. Tak, jak nie uda się od razu naprawić zaistniałe stąd słuszne rozgoryczenie i żal ludności polskiej miejscowej. Jakże trudno jest teraz jej wytłumaczyć, że zdarzające się nadal od czasu do czasu pewne omyłki przy pracach weryfikacyjnych są czymś obecnie wyjątkowym, a nie tak nagminnym jak przed pół rokiem.

Okres pierwszej polityki narodowościowej w dziedzinie weryfikacji w skutkach swych długo się jeszcze mścić będzie w dalszej pracy repolonizacyjnej.

Dziedzina druga, wysiedlanie Niemców.

Z ulgą czytamy w prasie raporty o stadium prac wysiedlenia, sumujemy coraz dalsze cyfry już odtransportowanych zagranicę. Zżyma nas niejednokrotnie w opisach z punktów etapowych we Wrocławiu, Kłodzku czy Szczecinie wyjątkowa troska o wygodę repatriowanych Niemców w potównaniu z warunkami w jakich my byliśmy przez nich wysiedlani, a choćby i w jakich wracają dzisiaj do kraju Polacy z Zachodu.

Bez wątpienia, powrót do Reichu uciążliwych siedmiowiekowych gości jest radosnym dla wszystkich. Mniej radosne jest konstataowanie błędów czy niedociągnięć, wynikłych z winy czynników administracyjnych. Sprawy te szerzej omawiałem w 4 i 12 nr nr „Odry“, tutaj więc, by nie powtarzać się, wymienię tylko najistotniejsze z nich plus to, co nowego przy dalszej bliskiej obserwacji procesu wysiedlania się nasuwa.

Akcja wysiedlenia z roku 1945 i bieżącego różni się tym, że wtedy, nie będąc oparta o ściśle umowy z państwami okupującymi Niemcy, nosiła charakter dobrowolny, ochotniczy. Dziś, po układzie berlińskim, wysiedlanie opiera się zasadniczo na przymusie.

Okres pierwszy odznaczał się prawie zupełnym brakiem kontroli wyjeżdżających co do ich współudziału w budowaniu „Nowej Europy“, co przyczyniło się do ucieczki z Polski elementu, poszukiwanego do dziś dnia nieraz przez odnośne organa sądowe.

Dalej nie przeprowadzono, zdaniem naszym, podstawowego podziału ludności wyjeżdżającej co do czasu przybycia na tereny polskie. Granicą miał tu być rok 1939. Niemcy osiedli po wybuchu wojny, w 90 procentach byli to zaufani nazizmu, przybyli z określonym planem i zadaniem. Ci powinni być wysiedleni w pierwszej kolejności bez względu na fach, wiek i płeć — które to kryteria powinny mieć zastosowanie przy rozsądzaniu kolejności wyjazdu elementu przybyłego przed wybuchem wojny.

Trzecią bolączką był brak taboru, co sprawiło, że spora ilość reflektantów na wyjazd pozostała po dziś dzień w Polsce.

turalnego, samorządowego i gospodarczego dobrych fachowców, o wysokiej wartości moralnej, którzy by doskonałą znajomością spraw i problemów miejscowych, mogli zatrzeć ujemne niejednokrotnie wrażenia dotychczasowe. Równocześnie Kongres apeluje o zawieszenie na terenie Ziemi Odzyskanych t. zw. „Klucza partyjnego“.

Specjalnie podkreśla rezolucja potrzebę zaniechania walk partyjnych na terenach zamieszkałych przez ludność autochtonicznie polską. Trzeba przecie pamiętać, że ludność ta, wychowana na głębokiej treści 5 prawd Związku Polaków w Niemczech, pragnęła tylko tej Polski i do niej powrotu. Tam nie było mowy o programach, nie było waśni i tarć partyjnych. Autochtoni, czy to Opola czy Warmii lub Mazurów, nie potrafią jeszcze dzisiaj rozróżnić taniej nieraz hurra — patriotycznej demagogii partyjnej od głębi pojęcia — Polska. W akcji propagandowej tych czy innych partyj słowo Polska jest wymieniane we wszystkich przypadkach co krok. To słowo widzi autochton. Etykiety partyjnych nie dostrzega on i nie rozumie. Polak z Opola czy Mazur otacza słowo Polska nimbem niezwykłym, pieczęcią jakimś uroczystym. Tej Polsce tylko chce służyć.

Zjawisko jedno znamienne. Spojrzeć proszę tylko na listy członków tych czy innych partyj. Nazwisk autochtonów znajdzie się tam kilka zaledwie. A teraz proszę obejrzyć spis członków Polskiego Związku Zachodniego. Są tam z pośród byłych aktywnych działaczy polskich prawie wszyscy. Dlatego, że PZZ jako organizacja ściśle bezpartyjna, jednoczy dosłownie wszystkich i ma jeden tylko program — program polski. I nie poza tym. Najwyżej program Polski Niepodległej, Potężnej, trwale opartej o Odrę i Nisę. Ale nie Polski pepeerowskiej czy peeselowskiej.

Na walki międzypartyjne, niezależnie od osobistych przekonań, negatywnie reagują też w większości środowiska repatriantkie, szczególnie te z za Bugu. W okresie ciężkiego impasu gospodarczego, w żmudnej pracy stawiania zrębów nowego życia, przy gruntowaniu nowej granicy zachodniej Polski, razi je i hamuje zapał do pracy, bezproduktywne marowanie sił, energii i nie grosza już, ale dziesiątków milionów na propagandę partyjną. Śmieje się repatriant ironicznie, gdy ktoś tłumaczy mu, że zeszyt dla dziecka kosztuje drogo, bo brak papieru, a jednocześnie za jeden czy dwa złote może kupić olbrzymie płachty gazetowe z zajmującą w nich 80 procent miejsca walką partyjną. Na te cele widocznie papier taniej się kalkuluje...

Można prowadzić walki ideologiczne tam, gdzie ludzie potrafią rozróżnić, co jest tylko i jedynie polskie, a co partyjne. Można ścierać się poglądami tam, gdzie polskość jest ugruntowana i mocna. Ale tutaj, na zachodzie, w obliczu konferencji pokojowej, granic nam nie utrwalają programy partyjne. Utrwalić je musi tylko program jeden, program polski, oparty o pracę i wysiłek autochtona i repatrianta. O tym należy pamiętać. Dzisiaj na tych tarcjach wygrywa tylko propaganda nam niechętna czynników angielskich, propaganda czeska czy nawet, i to coraz silniej, niemiecka.

(Część druga „Zagadnienia gospodarcze“

w następnym numerze)

Eugeniusz Pnukszta

Ks. Jan Salamucha

Początek i koniec świata materialnego

Czy świat jest wieczny, czy też istnieje jego mierzony skończonym odcinkiem czasu. — Czy miał początek i czy kiedyś istnieć przestanie. — Czy istnienie świata zależy od istoty nadrzędnej, różnej od świata. — Oto pytania, które narzuca nam ustawicznie zmienna rzeczywistość — rzeczywistość ciągle „względnie zamierająca“.

1. ROZWIĄZANIE DOGMATYCZNE

Na powyższe pytanie objawienie chrześcijańskie daje nam wyraźne i jasne odpowiedzi.

Świat materialny miał początek i będzie miał koniec, istnienie świata materialnego mierzony skończonym odcinkiem czasu. Jedynie ciała ludzkie, zgodnie z dogmatem o ciałach zmartwychwstaniu, nigdy istnieć nie przestaną, chociaż po końcu świata istnieć będą w jakiejś innej, materialnie wysubtelnionej postaci. Powstał świat przez akt stworzenia Boga, jako bogato zróżnicowane tło ludzkiej próby życiowej; przez grzech pierwotny teren pofałdował się trudnościami i najeżył się przeszkodami. Takie są informacje objawienia. Ale człowiek historyczny i samodzielnie te zagadnienia podejmował i wtedy, gdy objawienia jeszcze nie znał, i wtedy, gdy objawienia poznał, próbując pod kierunkiem objawienia i własnych sił w tych trudnych sprawach.

2. CO DAJĄ NA TEN TEMAT NAUKI SZCZEGÓŁOWE?

Naunki szczegółowe na te tematy milczą, bo milczeć muszą; wybierając dla siebie tylko poszczególne wycinki rzeczywistości, nie mogą one dawać odpowiedzi na pytania, dotyczące całego materialnego świata. Ale ciekawe jest zjawisko, jak nauki szczegółowe przesuwają wstecz zasadniczą problematykę, nieraz w ukrytej tendencji stwarzania pozorów jej rozwiązania. Skąd się wzięło życie na ziemi. — Tendencyjnie rozdmuchiwana w w. XIX hipoteza ewolucyjna ułatwia w dużej mierze odpowiedź na to pytanie: całe zróżnicowane bogactwo dzisiejszego świata organicznego sprowadza się genetycznie do niewielkiej ilości praorganizmów, z których ewolucyjnie wszystkie organizmy miałyby się rozwijać; pytanie o powstaniu życia na ziemi dotyczy wtedy nie całego dzisiejszego świata organicznego, a tylko tych niewielu pierwotnych, względnie prostych praorganizmów. Historia jednak i tutaj okazała pewną złożoność. Aż do połowy w. XIX ogólnie wierzone, że organizmy pierwotne powstają w pewnych warunkach z materii nieorganicznej (np. drobnoustroje w pewnych warunkach samorodnie powstawałyby w materii martwej, wywołując procesy gnilne) — t. zw. teoria samorodztwa. Gdyby teoria ewolucyjna zesłała się chronologicznie z teorią samorodztwa, to zagadnienie powstania życia na ziemi znalazłoby łatwe rozwiązanie: pierwotne organizmy pojawiły się samorodnie, a drogą ewolucji rozwinęły się w ciągu wieków i wytworzyły dzisiejszy, zróżnicowany i skomplikowany świat organiczny. Tak się jednak złożyło, że akurat wtedy, gdy wchodziła na horyzont teoria e-

wolucji, chemik francuski. Pasteur (1822-1895) obalił definitywnie teorię samorodztwa. Mimo uproszczenia wprowadzonych przez teorię ewolucji, zagadnienie o pojawieniu się życia na ziemi pozostało nadal otwarte. I oto przyrodniczy wysuwają nowe rozwiązanie: organizmy pierwotne przedostały się na ziemię z przestrzeni kosmicznych. Snują różne hipotezy na temat sposobów przedostawiania się tych organizmów z przestrzeni kosmicznych na ziemię (teoria panspermii, teoria spermazoidów) i często nadają tym hipotezom pozory ostatecznych rozstrzygnięć, a jest to przecież tylko przesunięcie zagadnienia, bo mamy prawo zapytać dalej: A jak powstało życie w przestrzeniach kosmicznych?

Podobnie „przesuwającą rolę“ miały często w relacjach pozytywistów teorie kosmogoniczne — hipotezy na temat kształtowania się materialnego kosmosu. Wyjaśnia się, jak pierwotne mgławice dzielą się na części, przybierają formy gwiazd i układów planetarnych... Naiwny czytelnik, znużony tymi uczonymi wywodami, łatwo ulegnie sugestii, że już wszystko jest wyjaśnione. A przecież przez te naukowe hipotezy pytanie zasadnicze zostało znowu tylko odświeżone, dalej pozostaje nierozwiązana zagadka: Jak powstały te pierwotne mgławice i jakie jest źródło kształtujących je energii?

Naunki szczegółowe mogą snuć pewne hipotezy, przesuwając wstecz zasadnicze zagadnienia; mogą dostarczać materiału pomocniczego do rozstrzygnięcia filozoficznych; zawsze jednak, bez pogwałcenia granic sobie zakreślonych, rozstrzygnąć dać nie mogą. Trudno, co prawda, stawiać przyrodnikom jakiegoś takiego zakazy, aby nigdy nie przekraczali granic swojej specjalności. Ale dla uniknięcia szkodliwych nieporozumień dobrze by było, gdyby przyrodnik, przekraczając granice swego terenu, robił to zawsze z pełną świadomością i wyraźnie to zaznaczał swoim czytelnikom, czy słuchaczom.

Pojajemne przechodzenie przez „zieloną granicę“ jest dla spraw intelektualnych jeszcze bardziej niebezpieczne niż dla spraw międzypanstwowych.

3. ROZWIĄZANIA STAROŻYTNE

Wszyscy filozofowie starożytni uważają, że materia, z której uformowany został dzisiejszy świat, jest odwieczna. Niektórzy z nich (np. Platon, Arystoteles) uznają istnienie Demiurga, Boga — artysty, który nadał odwiecznej materii kształty kosmiczne. Platon, obok tych dwóch elementów odwiecznych, Demiurga i materii, mówił jeszcze o trzecim elemencie odwiecznym: jest nim świat idei — wzorców, według których Demiurg uformował bezkształtną pierwotnie materię. Pojęcia stwarzania z niczego starożytność nie zna.

4. ROZWIĄZANIE TOMISTYCZNE

Według św. Tomasza nie mamy środków wystarczających do tego, żeby samodzielnie, rozumem własnym rozstrzygnąć, czy świat istnieje wiecznie, czy też istnienie jego mierzony skończonym odcinkiem czasu.

Objawienie nas poucza wyraźnie, że świat miał początek i będzie miał koniec, ale bez pomocy objawienia, rozumowo tych odpowiedzi uzasadnić nie umiemy.

Chociaż świat mógłby być wieczny, to jednak jest w istnieniu swym zależny od istoty nadrzędnej, transtendentnej — od Boga. Nawet świat wieczny nie mógłby istnieć samodzielnie, istnienie jego jest rezultatem twórczego aktu Boga — i to jest prawda, do której człowiek dojść może samodzielnie, bez pomocy objawienia.

Zależność świata od Boga uzasadnia św. Tomasz przy pomocy rozbudowanej przez siebie, a zapożyczony od Arystotelesa aparatury pojęciowej, w której dominującą rolę mają dwa pojęcia korelatywne: **konieczność i względność** (necessarium et contingens).

Względność jest to wszystko, co jest zmienne. Istnienie przedmiotów względnych, właśnie dlatego, że są one zmienne, nie jest wyznaczone przez ich istotę. — Dlatego istnienie ich jest zależne od Absolutu niezmiennego, koniecznego, którego istnienie jest wyznaczone przez własną jego istotę.

5. REFLEKSJE ANTROPOLOGICZNE

Człowiek współczesny nie jest już tak śmiały w szerokich lotach metafizycznych, jak myśliciele średniowieczni i — oto często przychodzą mu tutaj z pomocą te nauki przyrodnicze, które mentalność jego urobiły.

Przy rozważanych tutaj zagadnieniach w sukurs nam przychodzi podstawowy dział współczesnej fizyki, termodynamika. Pierwsza zasada termodynamiki, zasada zachowania energii głosi, co następuje: W każdym zamkniętym układzie materialnym ilość energii jest stała; wszelkie przemiany w takim układzie odbywają się dzięki przechodzeniu energii z jednej postaci w inną, a nie kosztem zaniku energii. Zgodnie z drugą zasadą termodynamiki, przemiana energii w układzie materialnym zamkniętym zachodzi tylko wtedy, gdy istnieje różnica napięcia energii w różnych częściach danego układu. Mamy wreszcie we współczesnej termodynamice prawo o wzroście t. zw. entropii: Przy wszelkich przemianach energetycznych część energii zamienia się na energię cieplną, która równomiernie rozprasza się w danym układzie zamkniętym i w ten sposób staje się energią bezużyteczną; przy przemianach energetycznych ilość energii w układzie zamkniętym jest stała, ale zwiększa się ciągle ilość energii bezużytecznej, przy jednoczesnym zmniejszaniu się równoległym energii użytecznej.

Prostą ilustracją przytoczonych tu zasad może być funkcjonowanie maszyny parowej. Po jednej stronie tłoka mamy wyższą niż po drugiej energię cieplną, dzięki temu mamy po stronie wyższej energii cieplnej większe niż po drugiej stronie ciśnienie gazów — i tłok odpowiednio się przesuwa, energia cieplna zamienia się w energię mechaniczną. Przy przesunięciu się tłoka, na skutek szkockiego tarcia, część energii mechanicznej zamienia się na energię cieplną, która równomiernie rozprasza się po całym układzie i staje się przez to równomiernie rozproszonej energią bezużyteczną.

Świat materialny *ex definitione* jest układem zamkniętym, bo przez świat materialny rozumiemy zbiór wszystkich przedmiotów materialnych. Jeżeli założymy, że ilość energii kosmicznej jest skończona — co jest tylko częścią założenia, że świat materialny nie jest układem nieskończonym, to w takim świecie zgodnie z prawami termodynamiki, przemiany energetyczne nie mogą trwać nieskończenie długo. Skończona ilość energii przy przemianach energetycznych w skończonym, choćby bardzo długim, odcinku czasu zamieni się w energię bezużyteczną i wszelki ruch w układzie zamkniętym. Jeżeli świat materialny jest układem skończonym i w całym tym układzie kosmicznym spełnione są prawa termodynamiki, to świat materialny w dzisiejszej postaci nie jest wieczny — miał on początek i będzie miał koniec swego istnienia.

Jerzy Zagórski

Ż O N I E

Siedem lat, to niemały szmat drogi
Gdy kaleczył tak stopy jej żwir.
Cóż jest miłość? Rzeźbieniem jest w ogniu;
Przy niej cieniem mdłym dźwięki są lir.

Czas.. O, czas jak z przeciętej krew żyły
Szybko splywa straszliwy i wartki.
Jeśli ranki wzrok weń zanurzyły
To jak w księgi poprutej kartki.

Cóż ci mogłem dać w czynów popłochu
Zono, o dotykany płomieniu?
Czysto dzwoni przysięgą: Kocham,
Jak w kościelnej wieżycy cieniu.

Gdy dzwon rośnie ten, niebo nie ciąży.
A choć ziemia ucieka z pod stóp
Wspólne winy wydadzą się więźniom
Ryglem w bramie rozwartej przez ślub.

1944.

WSZYSTKIE NOWOŚCI

POSIADA NA SKŁADZIE
i wysyła na prowincję

Księgarnia

Oficyna Księgarska

Warszawa, Marszałkowska 34

W ten sposób nauki przyrodnicze przychodzą nam z pomocą w osiąganiu rezultatów, podobnych do rezultatów metafizycznej śmiałości myślicieli średniowiecznych.

6. TYP ZALEŻNOŚCI ŚWIATA OD BOGA

Starożytni przedstawiali stosunek Boga do świata dokładnie na podobieństwo stosunku artysty czy rzemieślnika do dzieła przezeń wytwarzanego. Artysta czy rzemieślnik wytwarza nowy przedmiot w ten sposób, że przetwarza odpowiednio materiał sobie dany. — Podobnie i Bóg miał przetwarzać istniejącą niezależnie, odwieczną materię. Platon dał nawet Demiurgowi idee wzorcowe, według których świat miał być kształcony. — To bardzo grubo antropomorfizm, przeni się bez żadnej przeróbki i zmiany stosunki panujące w ludzkiej wytwórczości technicznej na miejsce stosunku Boga do świata.

Dopiero w pierwszych wiekach chrześcijańskich pojawia się świadomość, że nie można żywcem przenosić zależności, istniejących wewnątrz świata, na zewnętrzny transcendentny stosunek świata do Boga. Jednocześnie na wpół wyraźnie ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że jednak materiał do ujęcia stosunku świata do Boga znaleźć mogą nie gdzie indziej, jak w świecie doświadczalnie poznawanym — tylko, że ten materiał trzeba odpowiednio przerobić. Przeróbki poszły w dwóch kierunkach, bo oparły się na dwóch różnych znanych doświadczalnie typach zależności; skryształowały się one konsekwentnie w dwóch teoriach: emanacji i kreacji.

Neoplatonicy (ruch filozoficzny, rozwijający się w pierwszych wiekach chrześcijańskich, w pewnej zależności od Platona — stąd jego nazwa) przy przedstawianiu stosunku Boga do świata wzięli sobie za wzór biologiczną zależność potomstwa od organizmu macierzystego. Zdaniem ich, świat powstał w ten sposób, że wyioniił się z Boga. Konsekwentnie, świat jest, co prawda różny od Boga, ale jest boski w swej substancji, bo jest odpowiednio kształtującą się rozwojowo częścią absolutu. Taka jest zasadnicza osnowa teorii z łaciska zwanej teorią emanacji (emanare — wypływać, wylaniać się).

Ponieważ w emacjonizmie zaciera się nadrzędność, transcendentność Boga wobec świata — i rzeczywiście łączył się on zawsze historycznie z panteizmem, dlatego też teoria emanacji nie przyjęła się w świecie chrześcijańskim.

Scholastycy średniowieczni opracowali inną drogę, biorąc za podstawę inny znany typ zależności: stosunek artysty czy rzemieślnika do wytwarzanego przezeń przedmiotu. Na tej podstawie rozbudowali teorię kreacji (stworzenia). Świat jest tak różny od Boga, jak dzieło wytworzone jest różne od osoby rzemieślnika czy artysty: istnienie świata jest tak zależne od Boga, jak zaistnienie przedmiotu wytwarzanego jest zależne od swego wytwórcy; ta jednak zachodzi różnica między jednym a drugim rodzajem zależności, że rzemieślnik czy artysta tworzy, przetwarzając tylko materiał sobie dany, natomiast przed początkiem stworzonego świata był tylko sam Bóg i istnienie stworzeń od niczego poza Bogiem nie było zależne. Według klasycznej definicji, stworzenie jest to wytworzenie czegoś z niczego (creatio est productio ex nihilo sui et subiecti). Teoria stworzenia, ogólnie przyjęta w filozofii chrześcijańskiej i potwierdzona przez źródła objawienia, jest „analogiczną” przeróbką doświadczalnie znanych zależności, jakie występują w ludzkiej produkcji technicznej lub artystycznej.

Tak filozofowie pojmują zależność świata od Boga. Wszystko, co samodzielnie na temat tych ogólnych zagadnień wytworzyć możemy, skłania nas wyrażnie do przyjęcia prostych odpowiedzi O. biawienia. Ale dopiero Objawienie pozwala człowiekowi zająć zdecydowane i mocne stanowisko, wobec otaczającego go świata materialnego: świat materialny jest tylko ograniczonym terenem dla ograniczonej czasowo próby życiowej człowieka.

Ks. Jan Salamuch

Mieczysław Piszczkowski

HENRYK SIENKIEWICZ

Dziwnie się spłotła w roku bieżącym dwusetna rocznica urodzin Kościuszki z setną rocznicą urodzin Sienkiewicza. Dwa ludzie, którzy najmocniej przyczynili się do budowy międzystanowej spójni w narodzie polskim. Kościusko — czynem, kosynierami, Manifestem Połanieckim, Sienkiewicz — swoją sztuką, przede wszystkim trylogią historyczną, która przeniknąwszy pod strzechy, wiązała duchowo całe pokolenie chłopów polskich z przeszłością i z cywilizacją narodu i ziemi ojców.

Nie ma potrzeby rozpisywać się o tym, jaką rolę odegrał Sienkiewicz w okresach apatii i depresji. Ale warto przypomnieć gorące słowa St. Pigońki o roli, jaką spełniają powieści Sienkiewicza w dziele budzenia świadomości narodowej wśród ludu: „Mało kiedy tak żywo, jak nad kartami Sienkiewicza czujemy się związanymi z przeszłością organicznie i nierozdzielnie, z tym, co chluba rozpiera pierś, ale i w tym, co pali rumieńcem wstydu i co musi być odkupione przez nas i przez pokolenia po nas idące. A wszakże ta świadomość, obudzona i utrwalona w masie narodu, to najbardziej niezłomny fundament organiczności naszego rozwoju kulturalnego...”. (N a d r o g a c h i m a n o w c a c h k u l t u r y l u d o w e j).

Obok trylogii, która ukazuje Polskę stanową, szlachecką, ale w walce o byt narodu całego, obok „Krzyżaków”, przedstawiających Polskę na dorobku w momencie zwycięstwa nad Niemcami i sięgania po ziemię zachodnie — ileż podnięt myślowych i moralnych płynię w utworach Sienkiewicza! Dość powiedzieć, że dramat zaniedbanego dziecka wsi w „Janku Muzykancie” i tragedia nieświadomości narodowej chłopów polskich w „Bartku zwycięzcy” dziś jeszcze przemawia do młodzieży szkolnej bardziej przekonująco w duchu uspołecznienia i demokratyzacji, niż jakakolwiek inna lektura. A pilne wyczytanie się w „Rodzinę Połanieckich” i w „Bez dogmatu” pozwoliło by też zacytować niejedną scenę i niejedną scenę aktualną dziś, gdy przeprowadza się ciągle w koło ocenę warstwy ziemiankiej. Wystarczy jeden przykład. W scenie z pierwszego tomu „Bez dogmatu” Płoszowski wychodząc z wizyty u dramaturga Śnietyńskiego słyszy, że przyjaciel krzyczy za nim jeszcze na schodach: „Z takich, jak ty, już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczej musicie wszyscy pierwiej pobankrutować bo inaczej i wnuki wasze nie wezmą się do żadnej roboty!”.

I.

Książki, jak ludzie, mają bardzo zmienne losy. Habent sua fatalibelli. Jedne się aktualizują, drugie dezaktualizują, zależnie od charakteru epoki historycznej.

Dzieła Sienkiewicza miały wspaniałą karierę. Były namiętnie uwielbiane i równie namiętnie zwalczane. Sienkiewicz nie należy do artystów — reformatorów społecznych. Problemy socjalne interesują go tylko ubocznie, to też dzisiejsza epoka przełomu społeczno — gospodarcze-

Lesław M. Bartelski

Epitafium w wieczór wiosenny

Nutą cichszą od milczenia i dźwięczną jak smutek chciałbyś rozpocząć — poeto — wielbienie zmarłych. Ale wieczór wiosną rozbliska. I bielą osnute rdzewieją krzaki przydrożnych tarnin.

Coś się odmienia? Obce niebo — zimne i płaskie staje się niebem gorącym powrotu, ze zmierzchu zapadłego wyłonią się kaski żołnierzy? Polegli idą? Przecucia?

Zdała warczy motor.

A jednak zapomnianym dniom nadaj poeto sens niepospolity i wywiedz smukły wiersz w obelisk, nam wszystkim mroźnym smutkiem skutym dni zmarnowanych nie lic!

Daj zapomnienie ognia, daj przeminięcie spraw bolesnych, bo darń zielona skryła drogę kości. Kwitną już bzy i wiosny zapach rozplywa ciepłem i miłością.

1945.

zując malarstwo Raffaella znakomity krytyk z czasów Młodej Polski, Ignacy Matuszewski. Otóż Sienkiewicz — moim zdaniem — podobnie jak Raffael, przy całej swej oryginalności i sile indywidualnej ekspresji, operuje pewnymi ingrediencjami przeciętności, które łączą go z gustem szerokiej masy narodowej. Jeśli u Raffaella jest to upodobanie w ozdobnej gestykulacji i harmonijnym układzie ciał, u Sienkiewicza wyraża się to w efektach, barokowych antytezach, skłonności do patetycznych gestów, a poniekąd także w wysuwaniu doraźnego wysiłku mięśni, jednorazowego bohaterstwa ponad wytrwałą, rozumem i wiedzą kierowaną pracę. Sienkiewicz zdawał sobie zresztą sprawę z ujemności tego faktu, widać to np. w „Potopie” z rozmowy Wołodyjowskiego i Zagłoby o sztuce wojskowej cudzoziemców i swojaków. Wołodyjowski narzeka, że w armiach cudzoziemskich zanim kto zostanie oficerem siła musi ksiąg przewertować, dużo umiejętności i pratyki nabyć, a u nas po staremu husaria wali jak w dym i goli — a jak nie, to ją wygola. Na to Zagłoba replikuje, że przeciw najuczciwszemu oficerowi cudzoziemskiemu postawi Rocha Kowalskiego i zobaczymy, kto zwycięży! Taka była opinia ogółu, przyzwyczajonego do krótkich, mało przemyślanych nateżeń. Sienkiewicz przedstawia w trylogii sukcesy tej właśnie sarmackiej metody walczenia, która ostatni triumf święciła pod Wiedniem.

W mowie na własnym jubileuszu w r. 1900, Sienkiewicz sam przeciwstawił czynny „rycerzy słynnych z odwagi i poświęcenia” czasom obecnym: „Dziś jednak trzeba przede wszystkim nie jednorazowych uczynków, ale pracy długiej, wytrwałej, codziennej”. Rozumiał Sienkiewicz postulat nowoczesności, ale w swej trylogii poszedł tradycyjną drogą ziemianko-rycerską, drogą afirmacji czynów doraźnych, wynikających spontanicznie, z „fantazji”, a nie z namysłu, refleksji, przeżycia.

III.

Postaci z powieści historycznych Sienkiewicza stały się naszymi bliskimi znajomymi i przyjaciółmi. Nie darmo St. Witkiewicz napisał, że trylogia podobna nam się, jak opowiadanie o sławnym dziadku (cytuje z pamięci). Skrzetuski, Wołodyjowski, Podbięta, Zagłoba, Kmiecic wzięli się w kilka pokoleń polskich. Jak oni powstawali, o tym niejedno jeszcze się dowiemy. Sam pamiętam, jak Leon Piniński na posiedzeniu lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk opowiadał wyznaczenie Sienkiewicza, że Zagłoba rósł mu w czasie pisania niby baba wielkanocna. Ta metoda powstania wyjaśnia fakt pewnej niekonsekwencji w rysunku psychologicznym pana Zagłoby, który zrazu jest figurą marną, a później występuje w świetle znacznie lepszym.

Wspólna wszystkim przyjaciołom z „Ogniem i mieczem” jest troska o dobro i „prestige” Rzeczypospolitej, chociaż rozumieją je dosyć ciano, co sam autor podkreśla np. w opisie zachowania się Wołodyjowskiego i Zagłoby w Warszawie, w czasie elekcji (burdy i pojedynki). W ogóle Sienkiewicz, chociaż rozkończony w swoich postaciach epik, nie unika krytyki pod ich adresem. Nawet Jeremiemu Wiśniowieckiemu zarzuca, że prowadził politykę na własną rękę, że był tylko wodzem, a nie mężem stanu.

Na kilka lat przed obecną wojną wybuchła burza w szklance wody o stosunek „Ogniem i mieczem” do prawdy historycznej. Spośród licznych uczestników dyskusji w sposób najgłębszy, a dla Sienkiewicza całkowicie pozytywny, oświetlił to zagadnienie St. Zakrzewski w wykładach ogłoszonych następnie w I tomie „Zagadnień historycznych” (Lwów, 1936).

Sienkiewicz jest wielkością, która nie obawia się krytyki. Tylko miernota zbażana wszechstronnie ujawnia pustkę. Można znaleźć niejedną słabość w dziele Sienkiewiczowym, można to jeden, to drugi jego utworów wysuwać na front, jako najbardziej „budujący” i aktualny, niemniej szerokość koncepcji artystycznej, porywający styl narracji i rozmach obrazowania, blask i dźwięk języka, a nade wszystko żywiołowość wobec świata doczesnego, powaga i spokój wobec śmierci — oto wartości niezniszczalne w powieściach i nowelach twórcy „Krzyżaków”.

Jaltusz German

ŚLUB W NOCY

Fragment z powieści (Dziwożona)

Szli w milczeniu. Lipy i jodły ogarnęły ich w cień. Wnet mroki coraz rzadsze. Zaczęło się srebrnie rozwidniać. Uderzyły ku nim zapachy lawendy i gielzaminów. To już ogród kwiatowy przed pałacem.

A w pałacu panów Radziwiłłów w żadnym oknie nie miga się nawet najślabsze światelko. Zmartwiały, głucho zasnęły ciemne mury, na dwa piętra wysokie, z dużą okrągłą basztą, której blanki różnwały się z wieżą pobliskiego karmelitańskiego kościoła.

Sroga i ponura powaga szła od tych zwalistych, niby skalnych ciemności zamkowych i klasztornych.

Dowolna ośmielił się szepnąć:

— Gdy w oknach nijakiej nie ma lampki, miesiąc, ta planeta wdzięczna, naprawił oną niedbałość niespodziewających się gospodarzy...

Z najpewniejszym spokojem podszedł król do bocznego wejścia. Rozwieszały się nad tymi drzwiami festony dzikiego wina.

Zapukał trzykrotnie w stanowczej jasnej śmiałości.

Rozeszło się trzykrotne echo po ogrodzie uspiętym w nocnych woniach.

Czekali.

Niedługo to była chwila, w której każdy z nich nawzajem słyszał bicia trzech innych serc.

Za zamkniętymi wrotami prędkie, lekko dreptające szelesty, szmer niepewnych niewieściich szepotów.

— Kto tam jest? — zapytał przez drzwi głosik cienki i sposzony.

— Otworzyć. Król.

Ton słów powolny, niegroźny, raczej łagodny. Trzem dworskim panom mimo woli pochyliły się głowy.

Zakrzyczało za drzwiami, rozjękło się przerażeniem. Zbiegają się i rozlatują śpieszne i rozpierzchnięte kroki. Płaczą się, rozrywają poszeptywania, zapytywania, zlecenia... Na mgnienie wszystko cichnie. Z wewnątrz zbliża się ktoś najostrożniej, na palcach... Odsuwa żelazną zasuwę we wierzejach, kluczem kręci, otwiera... Powiewne tupotanie stóp uciekających w popłochu...

I w sieniach już nikogo.

Gdy tu weszli z księżycowych pobłaśków, rozrzucał w tę mroczną sien trochę światła lichтарь z pałacą się świecą, pozostawiony przez którąś ze służebnych dziewczyn wojewodziny.

Za ścianą przedsonka, z lewej strony, cięższe jakieś stukania i chodzenia, grubsze chociaż zciszone głosy... Drzwi trzasnęły, mocno zawarte, biegł ktoś przez pokoje, coraz dalej...

Zabłyło ze schodów światło pełniejsze i jaskrawsze.

Wysoko unosząc srebrny świecznik, jarzący się trzema migotliwymi płomieniami, stała na piętrowym krużganku pani w długim i białym gielez nocnym o rękawach haftowanych złotem, w przepysznych złociście rudych włosach, nie przykrytych najlżejszą zastoną, na noc uplecionych w warkoczce. Na wierzchu głowy przepaska, szyta perłami, z wąskiej białej wstążki, jakby strój dziewiczego czoła.

Takiej olśniewającej, promiennie czystej radości nie widział jeszcze nigdy Gabriel Tarło w oczach niczyich.

Rozjaśniły się te oczy cudno-zielone uśmiechem stokroć czarowniejszym, niż uśmiech szkarłatnych ust, rozkosznych w twarzy różowej snem niedawnym.

Nie było w jej spojrzeniu ani krztyny triumfu, czy też zadowolonej pychy. Schowała się, uciekała triumfująca pycha kobieca przed mocą miłującą i wreszcie we wszystkiej pełni szczęśliwą.

Jaśniała w owym szczęściu pośród wielu tajemnic i ta była najprostszą, a najtrudniejszą: tajemnica snu, który każdego wieczora przypomina o ostatecznym odejściu w niewiadome i każdego poranku poucza o zmartwychwstaniu.

Ale jeno królowi dane były te wszystkie niewysłowione tajemnice, aby je czytał i odkrywał swym utęsknieniem.

Szedł do niej powoli krocząc po echa-dach, jeszcze promienniejszy w oczach niż ona.

Nachylała się przez poręcz ganku. Górna część twarzy miała w świetle, resztę

od ust począwszy, przeciął raptownie półcień, podkreślając wgłębienia pod oczami i tych oczu blask czarowniczy.

Nie rzucił się ku niej, nie chwycił jej w niecierpliwie objęcia młodych ramion, nie porwał, nie przyszarpał ku sobie w młodzieńczy uścisk upragnienia.

Najdalszy był od tego w każdym ruchu.

Z powiewno lekką, najdelikatniejszą ostrożnością wziął jej dłoń, wzdłuż giezła opuszczoną, lekko do twarzy swej przycisnął.

Postawiła świecznik. Drugą dłoń już sama oddała jego dłoni. Nie zbliżyła lic ku licom przejrzyste szarym, które z każdym mgnieniem stawały się coraz bardziej świetliste.

Nie zbliżyła się, bynajmniej nie podała, a wymarzyło się Tarle, patrzącemu na nich w skupieniu i w dziwnym jakimś przestrachu, że ta króla umiłowana spływa ku swojemu tęskniącemu wszystkim oddającą się istnością, łączy się z nim w takich przeniknięciach zupełnych, w jakich Wilenka z Wilią w jeden nurt się kojarzy.

Spłotło się tych dwoje na krużganku dłońmi i spojrzeniami. Trwali tak, nie bacząc na trzech dworskich panów, czekających w półmrokach u podnóża schodów, i też w nieporuszonej postawie.

Trwali, nie wiedząc, czy to mijały minuty, czy też jakieś insze i dłuższe miary czasu, pozostawionego tam na dole...

Żadne z nich nie odezwało się jeszcze słowem.

Lecz ciszę przerwał kto inny.

Z rumorem rozwarły się drzwi, z lewego wnętrza pałacowego wiodące do sieni.

Stanęli w nich panowie Radziwiłły. Rodzony brat Barbary, Mikołaj Rudy, podczasz Wielkiego Księstwa Litwy, i dwaj stryjeczni, Jan i Mikołaj Czarny, tegoż Księstwa pan krajczy i pan marszałek. Wszyscy z przyzwyczajoną starannością godnie i ciemno odziani. Po żadnym z nich nie poznać, że w głębokiej nocy musiał zrywać się z łoża i na gwałt tutaj spieszyc. Jakby weale spać się nie kładli...

Przeleciało Tarle przez myśl: — „W zasadzkę króla pochycili! A napewno umaczał w tym palce ten borsuk Dowoyna!“

Mikołaj Czarny przed braci naprzód wystąpił:

— Łasce waszej królewskiej mości się zalecam, służbą i czołem aż do ziemi.

Jakoż ukłonił się najniżej.

— Kornie waszą królewską mość u-praszam o przyjęcie najpownniejszej i najwierniejszej czi mojej — Jan Radziwiłł do pokłowy zgął potężną postać.

Nic nie rzekł pan podczasz, na smutnawych licach w dwójnasób stroskany i frasobliwy. Równo z braćmi pochylił się w ukłonie.

— Witamy was, wielmożni i życzliwie nam mili — król przez ramię głowę ku nim odwrócił, nie wypuszczając z rąk dłoni Barbary.

Zapłoniła się ciemnym rumieńcem, cicho krzyknęła. Zadrzały jej rozchylone, kraśnie wilgotne usta w przestraszeniu całkiem nieudawanym. — „Więc chyba nie zmówiła się z braćmi“ — pomyślał Tarło. — „Albo też rządzą się nad nią, pogardzając pytaniem o jej zgodę...“

— Może nas, pani siostrze, razem z królem miłościwym na swe pokoje zaprosisz — słowa były układne, wzrok twardo nakazujący i nienawistny. — Nie lża majestatowi na krużganku wystawać, a nam z sieni na to spoglądać — czarny książę wstępował już na schody.

— Wasze moście także ze mną pójdzicie — przelotnie popatrzył tutaj król na trzech dworzan.

Wcale strojne były komnaty, które zajmowała pani wojewodzina trocka. Z owych komnat, oświetlonych już teraz rzęsiście, uchylały się drzwi do dużego przyziemnego alkierza, w którym nad biało zaslanym łożem z nieco pomiętą, bo ledwo opuszczoną pościelą zwieszały się błękitne skrzydła atłasowego namiotku, jedno wpół podwinęte, drugie sięgające posadzki.

Król oparł się o stół, wciąż trzymając za rękę panią w długich, ślicznie złoto-

rudych warkoczach. Zdjął kapelusz, położył na stole wraz z parą rękawiczek, perfumowanych konwaliowym zapachem.

— Co rzekniecie, Radziwiłłowie? Mówić wam pozwalamy.

Radziwiłł Czarny wbił w niego spojrzenie nieugięte, najtwardszym zamiarem zaciekle i napastliwe.

— Miłościwy królu i panie, zaręczyłeś nam swoim monarszym słowem, że nie będziesz już pokryjomu chodził do siostry naszej. Czemuż to zaręczenia królewskiego nie dotrzymujesz? Czegóż więc znowu do niej przyszedłeś?

— Dobrzeście przypomniał pory przyjscia naszego — ze spokojnych słów szła wzdardliwość, której, zda się, niczyj wzrok by nie strzymał.

Wytrzymał ją i złamał wzrok Mikołaja Czarnego.

— Trzeba było pilnować, aby w zelżywość nie wpadł ten dom, którego dawniej nigdy nie ważyły się nawiedzać wstydy, niesława i poniżenie obmierzłe. A już mieliśmy tych gości ponad miarę przez wszystkie owe lata, w których wasza królewska mość raczyłeś zadawać się z tą panią młodą. Alem myślał, że już wieczną spokojność mieć będziemy, gdyśmy w zakład dostali słowo królewskie.

Zawarły się ciężkie powieki nad wspaniale gorejącymi oczami Zygmunta Augusta. Delikatna, blade popielata cera w nagłych ceglanych wypiekach.

— I taką mamy teraz nagrodę, żeś nam, panie najmłodszy, hańbę jeszcze przymnożył — szorstkim i chrapliwym głosem odezwał się Jan Radziwiłł. — Po tych dzisiejszych nocnych, a nieprzystojnych odwiedzinach waszej królewskiej mości szpetniej i niepowściągliwiej rozbiegną się między ludźmi złe języki, szkalując naszą siostrę, dla której jużemy dosyć obelg się napili...

Podczaszy nic nie mówił. Łzawiły mu się opuchnięte, nabrzękle oczy w smętnej twarzy, okolonej czerwonawym zarostem.

— Gdy Pań Bóg z łaski Swej i przejrzenia Swego stanem i dostojenstwem wznioł i poccił waszą królewską mość nad wszystkich innych — Radziwiłł Czarny oczami o żelaznych błyskach wdierał się w rozplamione i zmieszane Zygmuntove źrenice — to komuż należy się większa ufność i potężniejsza wiara, niż temu, który onym świętym majestatem jest naznaczony?

Coraz przykrzejsze łuny na śniadosmagłej, przezroczyście subtelnej twarzy. Wargi nagle wyschły, spieczone, w oczach głęboko rozmiotane pożary. A w jego dłoń wpiera się dłoń kobieca opłotem wszystkiej mocy życia. Wpiera się w bicie jego krwi oddech najboleśniej upragnionej piękności.

— Pytacie mnie, po com tu dzisiaj przyszedł? A cóż wy wiecie? — wzmożył się słowa, rozdźwięczyły. — Może to terazniejsze przyjęcie moje do waszej siostry przyniesie wam największą cześć i sławę i pożytek?

Teraz miał oczy króla.

— Daj to, Boże! — żarliwie zawołał podczasz, raptownie we frasunku i w smętku rozjaśniony.

— Daj to, Boże! — serdecznymi tonami zlagodniał chrapliwy głos Jana Radziwiłła.

— Daj to, Boże! — ciężka i twarda powaga brzmiała w prośbie Mikołaja Czarnego.

Gabriel Tarło w przerażonych myślach omal za głowę się nie schwylił: — „Chciał-że by pan naprawdę płacić taką cenę straszliwą za słowo niedotrzymane? Miała by spełnić się ta groza, ta niegodziwość, ta żałość? Żenią się królowie z nierównymi sobie urodzeniem, z pomiędzy służebnych panien niejedną wziął za małżonkę ów Henryk, król Anglików, któremu właśnie teraz się zmarło. Ale cnotliwe były, w niewinnych wdziękach nieruszone, z obyczajów skromnych najuczciwsze. Zaś o tej sam dobrze wie... Przed pięciu dniami rozkazał mi powtórzyć, co o tych jej sromotach gadają... Mógł-że tak całkowicie zapomnieć, co mnie, tu obecnemu, przeciwko niej powiedział? Rozmłotowany, stęskniony garnie ją ku sobie i garnie...“

Śmiało ją ramieniem obejmował, z króla nagle królewicz urodziwy, śmiało i

Andrzej Augustowski

Boże zrzutów

Boże, w eksplozjach usłysz, w naszych sercach poprzez dymy czytają, gdy się modlą w huczącą pustkę obrońcy staromiejskich barykad.

Wśród nadziei i zwątpień krążącym, zablakany, jak kule oslepie, odgarnij ogień z przed oczów, naucz nas modlić się w piekle.

Bądź szumem anielskich eskadr, wśród nocy wyczekiwanych, zrzuc nam z czarnego nieba piatów i stenów zamiast manny.

Trzęsą się gwiazdy po nocach, ryczy w kościołach płomień, szukamy, Boże, Twych oczów: amunicji nam daj i broni!

Lamsdorf, październik 1944.

Janina Siwkowska

Śmierć w transporcie

Jeszcze raz spojrzę na słońce
Na dwa fiołki kochające,
Jeszcze raz się świat zatoczył —
Taśmą bielma związał oczy.
Links und links! i nagłym dreszczem
Spadły z drzew pachnące deszcze.
Jeszcze raz się świat zatoczył —
Taśmą krwawą związał oczy,
Zerwał z wiśni cud-atłasy
Na błękitno-szare pasy,
Na czerwone wilgne ściegi
Sypnął gwiazd pachnące śniegi...

Links und links... i coraz ciszej...
Wiosna w trawach się kołysze...

1945 r.

górnie patrzył w oczy wszystkim trzem Radziwiłłom.

Mikołaj Czarny szepnął parę słów podczaszemu. Frasobliwe oblicze znów okryło się troską, nawet lękiem. Wyszedł pan podczasz, do nóg kłaniając się królowi i siostrze rodzonej.

A marszałek rzekł teraz głośno:

— Gdy z ust najmłodszych usłyszeliśmy tak chlubną dla nas i tak ważną odezwę, raczy wasza królewska mość zezwolić, abysmy obrzęd zaślubin, nie zwlekając, natychmiast odprawili.

Spojrzenie w spojrzenie... Żelazny, napadający gwałt krzyżuje się z obronna jasną godnością.

— Natychmiast?

Znowu ugięły się każdy inny przed potęgą wzgardy, która błysnęła w tym jednym słowie zapytania.

Odbił się ten błysk od oczu Mikołaja Radziwiłła Czarnego, niczym grot lekkiej strzały od hartownego puklerza.

— Rzekłeś sam, najjaśniejszy królu, żeś dzisiaj w uczciwości do nas przyszedł. Korząc się przed dostojenstwem waszej królewskiej mości wolę twoją i postanowienie tak rozumieiny, iż chcesz i żadasz, aby dawna niesławność twojego z tą panią miłowania od razu zgładziła się i skończyła. Rozumiemy, żeś, królu najłaskawszy, do małżonki przyszedł, a nie do polubienicy.

Zdawało się Tarle, że wielkie czarne oczy króla zgłębiły się jeszcze większą czarnością, której dna nie dojrzeć, jak w przepaści.

Zygmunt August trwał w zapatrzeniu. Może teraz całkiem nie widział obu Radziwiłłów, może nawet nie widział i tej młodej, przyłgniętej, przytulonej, która w czekaniu na jego słowo lękała się od-dychać.

Zwolna zaczął mu się budzić w owych oczach zapatrzonych uśmiech promieniście nieubliżany.

— Jakże to wasza mość, panie marszałku, umyślił się uczynić z tym obrzędem?

— W naszej domowej kaplicy jest w pogotowiu pleban bliskiego tu karmelitańskiego kościoła. Tamże czeka pani kasztelanowa wileńska.

— Pleban jest w pogotowiu...

Pod tymi powolnymi słowami króla po raz pierwszy Mikołaj Czarny spuścił oczy.

W nakazującym szepcie schylił się do swej pięknej stryjecznej siostry: — Wiem,

że rade cię widzą pańskie oczy w tych gieżłeczkach najcieńszych, ale żebyś mi teraz w jednym mgnieniu ubrała się jak przystoi!

W jakiejże surowości wzrok i szepty, w jakiejże dławiającej nienawiści...

Prędko powróciła z alkierza. Już to stryjeczny brat zawždy tam umiał posłuch dla siebie wymusić... Wróciła w białych atlasach pod samą szyję. Wzdłuż szeroko szeszelących fałd powłóczystych hafty perłowe. Wąziółka bramka z pereł pozostała na gładko uczesanych włosach, pozostały niezastłonięte warkocze, przetrzucone na piers, długie do bioder. A w oczach jakby patrzyło prosto do nieba...

Ze świecznikami w rękach idą naprzód Mikołaj i Jan Radziwiłłowie.

Ksiądz trochę przygarbiony z wiankiem siwiutkich włosów nachylił się różowej czaszki, głowę schyla przed zbliżającym się królem. Już w komizy, w stule i w ornacie, trzęsie się cały i drży, nie z przyczyny lat dosyć sędziwych, ale z tej bojaźni największej...

— Witaj nam, przewielebny w Chrystusie ojczu, osobliwie nam miły.

Jeszcze więcej przeraził się księżyna tym pozdrowieniem łaskawym, jako że króla nigdy zbliżka nie oglądał.

— A teraz pilnie was tu wszystkich napolinamy, abyscie w uwadze przysięchali się słowom naszym.

Król patrzył na wszystkich i równocześnie jakby nie patrzył na nikogo.

— Zobowiązujemy was tutaj obecnych i przytomnych, abyscie małżeństwo nasze z tą oto panią Barbarą Radziwiłłówną zachowali przed wszystkimi na świecie w tajności i w zamknięciu. Nakazujemy wam to i tę powinność na was kładziemy aż do czasu, gdy zgodnie z przystojnością sami tę rzecz rozgłosimy bez obrazu zarówno rodziców naszych, jak i naszego królestwa.

Blady był aż do głębi lic a wszyscy wydawali się jeszcze bledsi i mizerniejsi.

— Czego abyscie się strzegli pod łaską naszą...

Ze ściśniętym gardłem patrzył Tarło za królem, jak idzie ku ołtarzowi, prowadząc za rękę ożone swoją tajemnie najulubieńszą.

Idzie z oczami pełnymi mocy przedziwnej, jakby wszystkie przyszłe niebezpieczeństwa pod nogi sobie położył.

Rozlega się głos miły naturalną słodyczą, stanowczością najsmielej orężny:

— Urodzony w kościele powszechnym chrześcijańskim, od którego jako i w żywocie tak też po śmierci żadną rzeczą wyłączać się nie chcę, proszę ciebie, czcigodny ojczu w Chrystusie, abysy udzielił kapłańskiej benedykcji związkowi mojemu z panią wdową wojewodzina trocką.

Gdy oboje ukłękli, widział teraz Tarło tylko twarz pani młodej, wzniesioną ku ołtarzowemu światłom.

Chociaż szarpało go i męczyło uciemiężenie wielkiej duchowej boleści, chociaż bez przerwy żarzył się w nim bunt nienawistny niechęci przeciw tej litewskiej niegodnicy, która nieuczciwym urokiem pana mu zaczarowała i wszystkimi nieścześnie zagraża, to jednak patrząc na nią, zdumiewał się tylko i zdumiewał...

Nie to, że w panińskim czółku tutaj kłęczy i w panińskich warkoczach, których przecie, gdy raz już była zamężna, nie śmie bez zasłony mężczyznom pokazywać...

Nie to, że w bieli przystrojona, czego wdowie czynić nie wolno...

Ale ta luna świec, dziesiątkami jarzących się w kaplicy, prześwieśla teraz jej oblicze blaskiem — niełatwo to pomyśleć, lecz inszej myśli na to niema — podobnym do jakowejś świętości, całkiem nieklamaniem anielskiej...

Jakby owe wszystkie złe czary, wszystko wspomnienie złej przeszłości, wszelkie dawne sromotne niesławy, wszelkie rozpustne grzechy zniszczyły się i zatraciły na wieczność pod błogosławiącą dłonią tego przygarbionego, siwiutkiego, trzęsącego się księdza...

Spoglądając na tę dawniej niewstydlwą, zepsutą i rozwięzłą, widząc, jak patrzy teraz na króla, musiał sobie Tarło w duchu powiedzieć:

— „To nie czarownica patrzy. To patrzy jeno sama miłość. A miłość to jest pożądanie piękności, niepojętej i dziwnej ponad wszystko. Niezbadane ono, największe i najstraszniejsze prawo boże“.

Juliusz German

O pomoc dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

Rozpoczęła się na ulicach i przed kościołami zbiórka na rzecz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Sprawa jest ważna i wymaga poparcia wszystkich. K. U. L. jest w katolickiej Polsce jedynym tego rodzaju wyższym zakładem naukowym. Jego przyszłość spoczywa wyłącznie w rękach katolików, ponieważ utrzymuje się przede wszystkim z ofiarności społecznej. Katolicki Uniwersytet Lubelski jest jedyną w kraju wyższą uczelnią o pełni praw państwowych, nie obciążającą budżetu Państwa, lecz zdobywającą środki na swoje utrzymanie i rozwój z darów i ofiar społeczeństwa katolickiego.

J. E. ks. kard. dr August Hlond, Prymas Polski i Metropolita Warszawski, wydał odezwę następującej treści:

„Pierwszy Polski Synod Plenarny zarządził przed 10 laty „Dzień Uniwersytecki“, który ma rozpowszechnić znajomość wielkich zadań Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i przyczynić się

do utrwalenia jego podstawy finansowej.

Znaczenie Katolickiego Uniwersytetu wzrosło niepomiernie wskutek bolesnych szkód, które w duchu i myśli zaznaczyły się w następstwie wypadków ostatnich lat. Nasza Wszechnica Katolicka jest dzisiaj jednym z głównych szkieletów i kuźnią chrześcijańskiej kultury narodu. Za wszelką cenę powinniśmy jej zapewnić warunki bytu i nieskrępowanej działalności.

Gońca wszystkich proszę o moralne i materialne poparcie „Dnia Uniwersyteckiego“, który we wszystkich diecezjach i województwach powinien być wznowiony, jako publiczne wyznaczenie światopoglądu katolickiego i naszej przynależności do kulturalnej wspólnoty świata chrześcijańskiego“.

Słowa Prymasa Polski zachęca niewątpliwie wszystkich katolików do wzmożonej ofiarności na rzecz Uniwersytetu Lubelskiego.

ZAPISUJCIE SIĘ
na członków Towarzystwa Przyjaciół
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
Oddział Warszawski: Narbutta 40.

Slonimski zakłada nowe Państwo

Tak jest, to wcale nie żart, a kto nie wierzy, niech przeczyta grudniowy numer miesięcznika „Nowa Polska“, Londyn 1945. W czołowym artykule p. t.

„Golem“ Slonimski, bardzo przestraszony wynalazkiem bomby atomowej i smutnymi perspektywami otwierającymi się przed ludzkością, pyta: „Co ochroni nas przed potwornymi siłami zniszczenia“ — i dalej snuje sam z sobą przebiegły dialog. „Nie znajdziemy tych zbawczych słów zaklęcia w przemówieniach zawodowych polityków na konferencjach międzynarodowych, bo przedstawicielami tych państw są urzędnicy, dbający o dobra interes swego rządu lub własną karierę“. Na to wszyscy się zgodzą, panie Slonimski, ale myśl Pana nie tutaj zmierz, to tylko wstęp starego gracza, czytamy dalej: „Nie znajdziemy tych słów zaklęcia w stolicy apostołskiej, która błogosławiła falangi faszystów, idące na podbój świata“. Aż tak — nienajgorzej. Panie Antoni, panie Antoni, drukować Panu nikt nie zabroni.

Więc gdzież szukać ratunku. Okazuje się, że „w wypowiedziach poetów, filozofów i uczonych“. Zaczniemy od końca, od tych kochanych uczonych. Otóż nikt inny, tylko właśnie oni rozbili atom, skonstruowali małą bombę i to w celu wcale niedwuznacznym, który zademonstrowano nam na miastach japońskich. A może filozofia? Są filozofowie i filozofowie, wystarczy przypomnieć Nietzsche'go, a jakiego miał czytelnika, osłupiał świat zobaczył po wrześniu 1939 r. w wypowiedziach poetów? Jeden z procesu norymberskiego, Baldon von Schirach, też pisał wiersze. Ciemna uliczka, panie Antoni, nie tak trzeba zaczynać. Panu bardzo się nie chce wprowadzić kryteriów dobra i zła, a trzeba, bo bez

K. W. Zawodziński

Pokłosie Kościuszkowskie

Dwóchsetlecie urodzin Kościuszki odbiło się tak bogatym echem w prasie społeczno-literackiej, że wymagaloby obszernego sprawozdania. Kompententniejszemu przyszłemu sprawodawcy chciałbym już teraz przyjść z pomocą, ofiarując poniższy bukiet uszczknętych mi-mochodem kwiatków, do pewnego stopnia mimochodem — świadczy fakt, że sprostregiszy kilka razy powtórzone konsekwentnie „Siechnowice“, jako nazwę Siechnowicz, nie wgłębiałem się już w lekturę Tadeusza i Ludwiki („Twór-

tego nie uporządkujemy myśli ani własnych, ani, zastraszonego bestialstwem ostatniej wojny, czytelników.

Jak wiadomo, mocarstwa obecnie istniejące, są oparte na systemie państw związkowych. Takim państwem są i Stany Zjednoczone i Anglia i Związek Sowiecki. Pan Slonimski proponuje wprowadzenie czwartego mocarstwa związkowego, bliżej nie sprecyzowanego, ale zato noszącego nazwę: „Zjednoczonych Mas Pracujących świata. Nowy stan rzeczy wymaga reakcji śmiałych i szybkich“. Doprawdy reakcja i śmiała i szybka, tylko nie bardzo trzymająca się rzeczywistości. To nic, zakładamy panie Slonimski czwarte mocarstwo światowe, ja z Panem. Prezydenta już mamy: pierwszy członek „Zjednoczonych Mas Pracujących świata“ — Antoni Slonimski. Dalej zobaczmy, samo jakoś się ułoży. Tylko najgorzej, psiakrew, z tą Ameryką, Anglią i Związkiem Sowieckim, bo to oni panie Antoni, podobno mają te atomówki, a my dotychczas dwóch członków czwartego mocarstwa.

A teraz jedno pytanie, dlaczego Pan zakłada czwarte mocarstwo w języku polskim, dlaczego nie po angielsku lub rosyjsku, bo nas tylko Pan nastraszył perspektywami zniszczenia i nic więcej, gdyż my, Polacy, atomówek nie mamy.

Dałem egzemplarz „Nowej Polski“ do przeczytania sąsiadowi. Pocziwy człowiek drugiego dnia odda mi i mówi: ciekawe pismo, tylko wie pan, dziwna moda w tej Anglii, że nawet pismo polskie, wychodzące w Londynie, drukuje humor na czołowych stronach. Ale ten sąsiad, to pocziwy człowiek, panie Antoni i ma stalowe nerwy.

Szpak

dzieci“, wydawanym w Łodzi przez Spółdz. Wyd. „Czytelnik“. Intencją podobnych pism jest zawsze: „bawiąc — uczyć“; w historii dostarczania ścisłych wiadomości, wbijających się w pamięć, dzięki barwnej szacie i stwarzających w sumie zarówno szkielet dziejznawstwa, jak i wyrobione poczucie następujących po sobie „stylów historycznych“ odpowiednio do epoki. Mniej mi tu przemówiła do przekonania w opowiadaniu A. Urci-cha reprezentacja możnowładztwa przez dom Puzynów, jak wiadomo dość skromnej rodziny, której kniazowska tradycja późno, bo w końcu XIX w., dostąpiła oficjalnego uznania wraz z tytułem księżym. Ale to drobnostka. Prawdziwe skupienie anachronizmów znajdujemy dopiero, zgodnie z naczelnym postulatem liryki — w krótkim wierszyku Wł. Słobodnika „Lekcja geografii“. Zawarta w nim scenka rodzajowa prowadzi do pięknego w swej naiwności zapytania rozmazanego szlachetnie chłopięcia Tadzia Kćsiciuszki o krainę „gdzie jest Wołność, Sprawiedliwość i Równość, panie profesorze?“. Prawdziwa niewątpliwie myśl o szlachetnych predyspozycjach „elewa“ „Rycerskiej Szkoły“ mogłaby jednak być ujęta w formę mniej zawierającą materialnych błędów.

Sposób przemawiania do uczniów w szkole po imieniu (i to w spieszczeniu) jest obyczajem o wiele świeższym niż pocie się wydaje. Nie istniał jeszcze za moich czasów, choć w kilka lat później brat mój wychowany był już pod tym reżimem. Tym bardziej kłóci się z ceremonią XVIII w., gdy ojciec do syna po francusku zwracał się per „monsieur“, a po polsku per waćpan i gdy 9-letni Kościuszek wraz z bratem zaczynając edukację w kolegium pijarskim, wpisani zostali do księgi szkolnej z tytułem „Wielmożnych panów miecznikowiczów brzeskich“. „Metr“ geografii (nie „pan profesor“ — choć nie jestem pewien, czy taki osobno przedmiot istniał w „Szkołe Rycerskiej“ — nie mógł na początku swego elementarnego, jak widać, kursu zadać swym młodocianym uczniom pytania: „Gdzie jest Australia? Jacy tam ludzie, jakie drzewa?“, gdyż sam na nie odpowiedziećby nie mógł). Właśnie bowiem w tym czasie dokonywało się, prowadzone oddawna „na raty“ odkrywanie piątej części świata; akurat w latach przebywania Kościuszki w Korpusie Kadetów. James Cook ustalał wschodnie zarysy tego lądu (czy wyspy — wahano się jeszcze długo w definicji) zwanego długo potem jeszcze raczej „Nową Holandią“. A wreszcie, co najłatwiej ustalić, nazwamy Todzio, nie mógł być w liczbie słuchających początkowego kursu geografii elewów: 19-letni Kościuszek wstąpił do Szkoły Rycerskiej, (która była odpowiednikiem, mierząc niedawnymi stosunkami, Korpusu Kadetów, połączonego ze szkołą oficerską, a nawet wyższymi kursami doskonalącymi) po ukończeniu „szkoły średniej“ w Lubartowie u Pijarów, od razu i jak przypuszcza Korzon do klasy 5-tej lub 6-tej, po roku był już chorążym, jako oficer przebywał dalej w Korpusie, gdzie też w ciągu czteroletniego w sumie pobytu doszedł do rangi kapitana, w której został wysłany na dalsze studia do Francji.

Taka jest prawda historyczna. Mógł jej nie uznać poeta, pisząc swój zgrabny wierszyk, ale rzecz redakcji było niedopuszczanie fałszów historycznych przed oczy swych czytelników, którym ma dostarczać nie tylko rozrywki, ale i wiedzy.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946— wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1060 zł. (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł. plus porto)
ks. dr. Win. Helenowski
Gostynin, wojew. Warszawskie.

Odbudowa Kraju —

pierwszym obowiązkiem Polaka
Subskrybuj Premiową Pożyczkę Odbudowy

Wśród książek i wydawnictw

Jan Bolesław Ożga: „Kraj”, poezje. Związek Zawodowych Literatów Polskich. Kraków, 1945. Str. 32 i 2 nl.

Dwa pierwsze tomy poezji Ożga „Wyjazd wnuka” (1937) i „Ogień i Makolągwa” (1939) stanowią wykres poetyckiej drogi poety, zawierający się w ambicji własny, samodzielnych osiągnięć. I dlatego debiutancki tom wierszy Ożga p. t. „Wyjazd wnuka”, mimo pewnych nieporadności formalnych, uderzał świeżością i znamionował talent nieprzeciętny. Liryzm poety krystalizował się w sielankowym widzeniu świata, pełny krajobraz, jakby z niego się wywodzący. Postawa autora, przyjmującego bez zastrzeżeń rzeczywistość, warunkowała jego świat poetycki, pomniejszony do wymiaru miniatury. Pejzaż Ożga czarował prostotą i świeżością, ale za to zbyt rozrastał się w jego wierszach, z elementów tworzywa stając się niekiedy treściwą. Z nieswiadomego inspiratora poetyckich wzruszeń urasta Ożga w drugim tomie swych wierszy, wydanych tuż przed samą wojną, do twórcy w pełni świadomego własnych możliwości. Głoszony przez siebie autentyzm starał się poeta realizować w swoich utworach. Poczterzyła się tematyka jego wierszy, pogłębiła problematyka. I co ważniejsza zarysowała się mocno postawa poetycka Ożga, wyrażająca się w uczuciowości odtwarzania przeżyć. To był program autentyzmu, pojmowany najprościej. W tomie tym poeta przewodził zbytnią nastrojowością i przeliryzowaniem, jakie jeszcze dało się odczuć w tomie pierwszym, zdobywając się na własny ton.

Natomiast trzeci tom p. t. „Kraj” wskazuje na to, że poeta zakreślił w rozwoju, poszerzając swój świat poetyckiego odczuwania. Upiękniał się jego styl poetycki, nabierając swoich cech. Ale ta postawa grozi wyraźnie manierą, o ile poeta nie poszerzy jej i nie pogłębi. Obok wierszy w tym tomie, odznaczających się dość wysokim poziomem, mamy jednak wiele utworów, mających cechy próbek, ale nie trafiających jednak nam do przekonania. Wadą tego tomu jest zbytnie przeładowność go wierszami, przy braku jakiegokolwiek selekcji. Prowadzi to do tego, że obok utworów naprawdę dobrych, jak „Elegie Janickiego” (wiersz wstępny), czy „Sielanka śnieżna” znajdują się w tym tomie utwory daleko słabsze, odbiegające od poziomu, jaki już Ożga osiągnął. Choćby takie, jak „Lilia polna”, czy „Pokój”. W wierszach które odtwarzają minioną już rzeczywistość, sielankowość i nastrojowość poezji Ożga załamuje tu perspektywę walki i urzeka bezradnością.

„Dotek, rydel, paka i powiędźle wianki — lazorowy gotyk oczu sasanki. Westchnienie u chójaka i ptasia chołota, stuknie dzwonek motyk w las jak we wrota.”

(„Egzekucja”, str. 25.)

Nuta ta brzmi miękko i temat ginie w rozmiarach sielanki. Stwarza to rozdźwięk między odczuwaniem czytelnika, znajomego minioną rzeczywistość okupacyjną dość dobrze z autopsji, a postawę poety. Dobitnie charakteryzuje tę postawę zakończenie wiersza „I polskie działa”, w którym poeta, przedstawiając okropności wojny, zamyka jej w nucie kołysanki:

„Stonko od wschodu do zachodu w gardziel baterii wpycha paszę, i masz wrazenie, że w tej wsi o zmierzchu płuća wszystkich stodoł rozrywa rdzawy, suchy kaszel, a las nie umarł, ale śpi. Układam w jaszc armatki cię, zielona gałęzinko nuty, kołysz się, kołysz, nie budź się.”

(Str. 19.)

Pisze poeta w wierszu „Okragło siedem lat”:

„... W trumnie leżał nie będę, lecz za to na konwaliach, Na placach porachujcie, na mnie paciorki malin.”

(Str. 26)

W strofie tej zawiera się całkowicie światopogląd poety: jego odczuwanie rzeczywistości jest przepojone sielankową nutą, która przesłania Ożgowski okropności wojny. Natomiast walka z rzeczywistością nie staje się podstawą tych wierszy, ale jest po prostu jeszcze jednym z motywów krajobrazu.

Józef Ożga - Michalski: „Oberek świętokrzyski”, poezje. Związek Zawodowych Literatów Polskich. Wydano z zasiłku Międzyinstytutu Kultury i Sztuki, 1945. (Kielce). Str. 64 i 4 nl. Okładkę drzeworytowo wykonał Kazimierz Wiszniewski.

Drugi tom poezji Ożgi-Michalskiego, po wydanych w r. 1938 „Gadkach świętokrzyskich”, cechuje na ogół wyrównany poziom. Poezja, jaką reprezentuje w tym zbiorze autor, rozpada się dość wyraźnie na dwa rodzaje, co też i wyodrębniła konstrukcja tomiku sam poeta. Łączą te dwa rodzaje wspólny nurt poetyckiego odczuwania, zamknięty w jedynym chłopskim prymitywie. Stanowi tom ten wyraz t. zw. chłopskiej twórczości, kryształizującej się w językowej i składniowej odrębności oraz specyficznym, nieco niefrasobliwym spojrzeniu na świat.

Pierwszą część tomu p. t. „Oberek świętokrzyski” składa się z wierszy o akcentach czysto lirycznych, reprezentujących lirykę osobistą, a nawet intymną.

OGÓLNOPOLSKI KURS KATECHETYCZNY W CZĘSTOCHOWIE

w dn. Od 4 do 21 lipca b. r.

Po dłuższej przerwie spowodowanej wojną, Instytut Katolicki w Częstochowie organizuje u stóp Królowej Korony Polskiej na Jasnej Górze pierwszy ogólnopolski kurs katechetyczny.

Kurs ma na celu:

- przedyskutowanie szeregu problemów z dziedziny oświaty i wychowania religijnego, zwłaszcza zagadnienia metody czynnej nauczania religii w szkołach średnich i powszechnych w opracowaniu Instytutu Katolickiego w Częstochowie,
- pogłębienie wiadomości z dziedziny aktualnych zagadnień naukowych i metodyki nauczania religii.

Kurs katechetyczny jest przeznaczony dla:

- Księża Prefektów szkół średnich i powszechnych,
- świeckich nauczycieli religii (Katechetów/tek),
- oraz kandydatów na katechetów i katechetki.

Kurs katechetyczny ma uprawnienia kursów organizowanych przez Kuratoria Szkolne.

Uczestnicy kursu uiszczają następujące opłaty:

- za korzystanie z wykładów i ćwiczeń — 200 zł.,
- za mieszkanie i utrzymanie (80 zł. dziennie) za 17 dni — 1360 zł.

Przy zgłaszaniu się na kurs należy przesłać przekazem 200 zł. Zgłoszenia należy kierować najpóźniej do 15 czerwca b. r. pod adresem:

Częstochowa, Aleja N. Maryi Panny Nr 64 — Instytut Katolicki

Do najlepszych należą wiersze „W tułaczce”, „Oberek świętokrzyski” i „Pożegnanie znajomej dziewczyny”. Przez nieporozumienie chyba dostał się do tej części wiersz p. t. „Narodziny cielięcia”, a może było specjalnym zamierzeniem autora wliczyć wiersz o takiej tematyce do liryki osobistej. Również nieporozumieniem jest wiersz „Do mojej wiciarki”, mający z opeją niewiele wspólnego, więcej za to ze „szkoła poetycka” niezapomnianej pamięci ks. Baki. Te napozór drobne uchybienia pozostaną zawsze jednak dysonansem w całości.

Rowodów społeczny drugiej części tomu wierszy Ożgi-Michalskiego charakteryzują go własne słowa:

„Wosiu, wydłubałem dziurę w płocie. Żadnym wy jej nie zatkać sękiem, patrz na was przy każdej robocie, a i pióro mam wetknięte w rękę.”

(„Do Wosia”, str. 64.)

W wierszach tych, jednolitych w swym poetyckim gatunku ludowej gawędy, przebiega tęsknota do przekształcenia swojego świata na inny bardziej odpowiedni, ale nie jest to związane z nutą buntu, lecz satyry. Stąd wiele w tych wierszach moralizatorstwa i dydaktyzmu. Tryska z nich szeroki nurt anegdotyczny, zaprawiony humorem. Ponieważ anegdotę w swej istotnej konstrukcji obowiązuje moralizacja, znajdziemy go w wierszach Ożgi nie w formie suchych wskazań, ale niefrasobliwej ironii. Ten motyw nieomal pobażania ma w sobie coś z kasprowickowskiego „Mojego świata”, ujmowanego mimo dostrzeganych wad z pietyzmem i sentymentem. Świadomy prymitywizm prawie groteski nie zubaża poetyckiego krajobrazu autora. Czerpie go Ożga hojną dłońią z chłopskiej codzienności, z której wydobywa momenty niezwykłości, deformując je w swym poetyckim tekście:

„Baby bronowały zdrowaskami po dziesięć razy każdy zagon. Chłopy ojczeszem jak lemieszem. Bruzdy głębokie robiły.”

(„Organy”, str. 48.)

Ta poezja stoi na pograniczu epiki. Wspólny jest z tym gatunkiem poetyckim motyw anegdoty, wspólne ujmowanie świata, ale zawiadająca nuta, przebijająca wprost z każdego wiersza, zamyka drogę do epiki i warunkuje doznania liryczne. Świat, jaki maluje Ożga-Michalski w swym tomie p. t. „Oberek świętokrzyski”, jest wygrany wszystkim możliwymi barwami wiejskiego pejzażu. Razi natomiast i to dość mocno nieopracowanie wierszy, w których można znaleźć wiele łatwizn i usterek, w sumie dających wydzźwięk niekorzystny. Dlatego też wiele z tych wierszy robi wrażenie szkiców nieukończonych. A szkoda.

L. M. Bartelski

Janina Broniewska „Szlakiem pierwszej armii”, Czytelnik, Warszawa, 1946, str. 174.

Książka Broniewskiej jest zbiorem artykułków pisanych w rozmaitym czasie od wiosny 1943 do wiosny 1945. Artykuły są sympatyczne, nawet miłe, ale właściwie z perspektywy czasu nie dają czytelnikowi nic. Są mocno zabarwione uczuciem, mają charakter propagandowy, a więc nadający pisanie wartości krótkotrwało-utilitytarną. My, którzyśmy nie byli w pierwszej armii, ale których interesuje wszystko, co pierwsza armia przeżyła, nie znajdujemy w książce prawie nic, co by zaspakajało naszą ciekawość. O bitwie pod Lenino — konkretnie nie. Spotkanie z Katyniem — nie. Trochę nastrojów, trochę powiedzonek żołnierskich — wszystko w sosie bardzo popularnym. Najciekawsze stosunkowo fragmenty, to rozmowy ze spotkanymi partyzantami i mobilizacja na Wołyniu.

Książka na ogół prawie wolna od akcentów, których tak bardzo należy unikać — od akcentów tworzących nieporozumienie między trzema formacjami Armii Polskiej: armią krajową, armią tworzoną na Wschodzie i Polakami, oraz

armią, która powstała w Rosji. Trzeba to zaliczyć na wielki plus książki, aczkolwiek, jeżeli by to miała być książka przeznaczona do świetlic wojskowych, to wówczas samo przemilczenie będzie niewłaściwością i należało by coś napisać o tym, że walka o Polskę toczyła się na wszystkich frontach. Pominęte głuchym milczeniem toczącej się za Wisłą walki o Warszawę aż zdumiewa. Może to można tylko tym usprawiedliwić, co znajdujemy w autorskim następującym fragmencie:

„Wrócił się w łzach i kwiatach... To jeszcze nie pełny obraz tej dzisiejszej Polski, której się trzeba uczyć, jak by na nowo. Rozdział za rozdziałem. Trzeba się jej po to uczyć, żeby zrozumieć, co to jest pięć lat pod Niemcem. Co to jest pięć lat nieustannego lęku i nieustannej walki...”

Niewątpliwie tego się trzeba nauczyć. Ci, którym było danym walczyć tylko w otwartej walce, nie rozumieją do dziś wielu rzeczy. My, zrosnięci z walką podziemną, nie powiedzielibyśmy o ruinie warszawskiego tramwaju: „To nic, że jeździł nim Niemcy...”, bo to tramwaju nie szanibito. Był on naszym tyle razy sprzymierzeńcem w walce i w obronie, że nawet tych Niemców na jego pomoście nie pamiętamy. A może raczej pamiętamy i to tylko powiększa nasze uczucie, bo i on był tak jak i my deptany.

Zresztą — trudno mieć o to pretensję. Nauczmy się — my, szlaku i uczyć i armii, ci — „Kościuszki” — naszych krętych, krwawych ścieżek. Wtedy powstanie całość historii.

Tylko, że książka Broniewskiej nie nauczy nas wiele o życiu i Armii. O ilej więcej można przeczytać z prostej choćby relacji sztabowej o natarciu trzech pułków piechoty na Tiergeiten! Felietony i popularne artykułki mało się nadają do publikacji książkowych. Zwłaszcza, gdy są zebrane nieco niechlujnie. Na stronie 158 i 159 dwa razy pisze autorka o „niemieckiej ziemi”, choć jak się orientujemy, to wcale nie jest niemiecka ziemia. W marcu I armia była w Kołobrzegu — nieprawdaż? Więc nie na „niemieckiej”.

J. d.
Ks. Dr. Czesław Pacuszka „Matka Boga — Matka ludzi”. Skład Główny Księgarni Diecezjalnej „Caritas”, Płock, 1946 r., str. 96.

Z samego „wprowadzenia” autora wynika, że powyższa książeczka na m. maj i październik przeznaczona jest dla czytelników zarówno duchownych jak świeckich katolików. Rzeczywiście, jak sam autor słusznie zaznacza, jest to „krótki, lecz obfity materiał do rozważania, szczególnie dla inteligencji katolickiej, która potrzebuje umocnienia w wierze. Dowody z Pisma św., teksty O. O. Kościółka, liczne przykłady, są naprawdę dowodem wielkiej i głęboko przemyślanej pracy. Dla duszpasterzy książeczka „Matka Boga — Matka ludzi” stanowi jedynie materiał do nauk majowych czy październikowych w przystępniejszym ujęciu.

„Życie N. M. Panny Matki Boga-Człowieka i Matki ludzi”. Z francuskiego opracował ks. Zygmunt Przyjemski. Księgarnia Powszechna i Drukarnia Diecezjalna, Włocławek, 1946, str. 189.

Temat przez autora wdzięcznie przeprowadzony. Na tle życia N. M. Panny wykwiła w precyzyjny sposób Jej błogosławione Boskie Macierzyństwo i opieka nad światem jako Matki ludzi. Forma i treść podobne do poprzedniej książeczki, tylko bardziej przystępna dla wierzących i dlatego nadaje się dla duszpasterza jako lektura na miesiąc maj.

M

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i Jutro”, prosimy o nadesłanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenzyjną.

Kronika kulturalno-naukowa

Sprawy Ziemi Odzyskanych są na ustach wszystkich. Prasa, radio i inne środki informacji donoszą nam o każdym objawie życia na ziemiach, które wróciły po wiekach do nas. Każdy Polak wychwytyje wszystko, co o tych ziemiach się pisze i mówi nie tylko w dziedzinie kultury, ale także w odniesieniu do spraw gospodarczych, czy społecznych. Interesuje nas wznowienie pracy w każdej fabryce czy kopalni, interesuje nas procent osiedlenia się Polaków w stosunku do ludności niemieckiej, która tam jeszcze tkwi, interesują nas sprawy chłonności tych ziem, jeśli chodzi o problemy osadnicze. O ile jednak o ziemiach leżących nad Odrą i Nysą mamy dość wyczerpujące informacje, o tyle o ziemiach nad Łyną i Pasęką wiadomości są skąpe i niedokładne. Można śmiało powiedzieć, że t. zw. okręg mazurski jest bardziej zapomnianą częścią Ziemi Odzyskanych, gdyż nie ma tam takiego bogactwa, jakim są rudy i węgiel, które budzą wielkie nadzieje na przyszłość dla budowania solidnych podstaw gospodarczych Polski. W przeciwieństwie do Śląska, tak bogatego w złoża naturalne, okręg mazurski ma ubogie na ogół ziemie pod uprawę, piękne lasy i jeszcze piękniejsze jeziora. O ile np. Śląsk nie został zniszczony w zakresie potencjału gospodarczego, o tyle w ziemię warmińską i mazurską trzeba włożyć wiele pracy i kapitałów, aby ziemię tę doprowadzić do stanu kwitnącego.

Na tych bowiem ziemiach skoncentrowała się cała nienawiść naszego sojusznika dla wujującego prusactwa, tu została odplacona krzywda za zniszczenie ziemi radzieckiej przez niemieckiego okupanta. Nie mniejsze zniszczenie jest tu widoczne w dziedzinie kultury od zniszczeń gospodarczych. Ze względu na planową ewakuację Warmiaków i Mazurów w głąb Niemiec, wiele zabytków sztuki ludowej i kościelnej zostało zniszczone, gdyż nie było nikogo po licznych osiedlach i wsiach, kto by ratował to, co wytworzyły pokolenia oraz to, co było odtwarzane kultem.

To, co ocalało, w przeważnej części stanowi smutny dokument niemieczyny, która panowała na tych ziemiach. Nie mały przeto trzeba włożyć wysiłku, by zteńczyć w te ziemię kulturę polską, by ze stwardziałej skorupy niemieczyny wydobyc piękna ludowa mazurską i warmińską kulturę, która została zagłuszona przez Niemców. Siedziba okręgu mazurskiego, Olsztyn, to nie tylko siedziba władz wojewódzkich. To przede wszystkim przyszła siedziba ośrodka kultury na wielką miarę ośrodka, który musi sobie podać dłoń z Lublinem w zakresie promieniowania kulturalnego na całe ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Już dziś dokonano bardzo wiele. Stworzono w Olsztynie Muzeum Mazurskie, czynny jest Państwowy Teatr im. Jaracza oraz powstał Instytut Mazurski. Wszystko to jeszcze jest mało. Wprawdzie teatr stoi na b. wysokim poziomie dzięki obsadzie, która przyjechała z Wilna, a Muzeum Mazurskie, mieszczące się na zamku w Olsztynie, gromadzi ocalałe od pożogi wojennej zabytki kultury, lecz wszystko to jeszcze jest mało, jak na szalone potrzeby tego regionu. Po pierwsze należy stworzyć z Muzeum Mazurskiego ośrodek badawczy tego regionu. Historia sztuki, etnografia, prehistoria, geologia, botanika i zoologia i t. d., to dziedziny, w których tak wiele jest do zrobienia o ziemiach leżących nad Łyną i Pasęką. Jak zawsze, tak i w tym wypadku nie tylko o fundusze tu przede wszystkim chodzi. Chodzi o młodych ofiarnych naukowców, którzy zdobywać będą te ziemie dla nauki polskiej. Gdyż wszystko trzeba tu zrobić od „owa. Tendencyjność nauki niemieckiej zastąpić trzeba polskim punktem widzenia na sprawy mazurskie i warmińskie nie tylko w stosunku do teraźniejszości, ale także w stosunku do przeszłości. Od czasów przedhistorycznych poczynając trzeba wyjaśnić wspólność bałtośkowską, genezę Prusów, jako jednostki etnicznej, kierunek ekspansji mazowszańskich i wiele im podobnych. Nie mniejsze pole jest dla etnografii, historii, sztuki, geologii, botaniki i t. d. Prace te winny być koordynowane przez Instytut Mazurski z pracami Muzeum Mazurskiego, jako podstawowej jednostki badawczej.

„Oficyna Księgarska”

Warszawa, Marszałkowska 34

poleca:

Kazimierza Koźniewskiego

„Rok ziemi obiecanej”

i zapowiada:

Konst. Hildefonsa Gałęzińskiego

„Wiersze zebrane”

z winiętami J. Knothego

nie mniejsze ambicje ma mała miejscina, położona na wschód od Olsztyna, w odległości około 80 km. położona, a mianowicie Rastembork. Za czasów niemieckich był to ośrodek szkolnictwa średniego oraz zawodowo-rolniczego tej części b. prowincji wschodnio-pruskiej. Z tych czasów ocalało wiele pięknych gmachów szkolnych, które gotowe są prawie w zupełności do użytku. Miejscowe władze pragną w murach tego miasteczka widzieć repatriowane Liceum Krzemienieckie, które by stworzyło z Rastemborka silny ośrodek kulturalny w wschodniej części okręgu mazurskiego. Pomysł jest o tyle godny poparcia, że właśnie tu udało się miejscowym czynnikom zabezpieczyć wiele cennych ksiązek z instytucji

Kto wie coś o losie publicysty **MEDAR. DA KOZŁOWSKIEGO**, wywiezionego przez Niemców z Warszawy ul. Barska 4 w sierpniu 1944 r. do Dachau, proszony jest o przekazanie wiadomości do Redakcji „Dziś i Jutro“.

kulturalnych regionu mazurskiego, które Niemcy roznieśli po kościołach i dworach, celem zabezpieczenia przed zniszczeniem. Zbiory biblioteczne są tu tym cenniejsze, że zawierają wiele dzieł i całe komplety nych, odcinek, który jest mniej znany czasopiśm naukowych, dotyczących całej skali zagadnień naukowych Prus Książęcych. Jeśli by więc to miasteczko uzyskało odpowiedni materiał ludzki, pracujący naukowo, mógłby Rastembork stać się silnym ośrodkiem kulturalnym, go-

dnym najlepszych tradycji Liceum Krzemienieckiego. Niestety, koncepcja ta ma też i słabe strony. O goszczenie w swych murach Liceum Krzemienieckiego zabiega też i Lidzbark mazurski, ta sławna siedziba biskupa Krasickiego, znana nam, niestety, aż zbyt często pod niemiecką nazwą Heilsberg. I to miasto ma dogodne warunki lokalowe, a co najważniejsze piękny zamek biskupi, gdzie przebywał Krasicki. Zachodzi jednak pytanie, czy nie warto kontynuować pięknych tradycji po biskupach polskich na Warmii i tu właśnie, a nie gdzie indziej przenieść i umieścić Liceum Krzemienieckie? Są to na razie plany i kłopoty, których urzeczywistnienie zależy od wielu czynników bardziej lub mniej łatwych do rozwiązania. Przyszłość pokaże, czy ziemie warmińska i mazurska zdobędą się na wielki wysiłek w dziedzinie kultury i będą budować nowe wartości kulturalne na miarę tych, o których pisze historia.

Tak bowiem narazie wyglądają w grubych zarysach osiągnięcia i plany na przyszłość ziem północnych, położonych na wschód od Wisły. Jest to drobny odcinek budzący się do życia ruchu kulturalno-naukowego na Ziemiach Odzyskanych, odcinek który jest mniej znany szerokim rzeszom czytelników, a więc godny do podania do wiadomości. Ziemia nad Łyną i Pasłęką nie mają takiej „prasy“, jak ziemie nad Odrą i Nysą. Nie mają też takiej pomocy od czynników rządowych i ośrodków dyspozycyjnych z głębi kraju, jakie ma np. Śląsk. Tym niemniej konsekwentnie dążą do realizacji swych planów w dziedzinie kultury.

J. Ant.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na drugie półrocze

Prosimy o czytelne wypisywanie adresów. Tylko prenumerowanie pisma jest gwarancją jego otrzymywania.

Szeroki horyzont

Ziarna z grobu faraona

Kto z nas nie zna fascynującej opowieści o ziarnach z grobu Faraona, które zakiełkowały po tylu wiekach. Jak przedstawia się rzeczywistość tej całej sprawy?

Na pytanie to odpowiada uczony angielski H. J. Bunker.

Od czasu do czasu dowiadujemy się, że ziarna pszenicy i inne nasiona odnalezione w dawnych grobowcach zostały zasiane i wyrosły na piękne, zdrowe rośliny. Historyjki te są zwykle opowia-

dane w najlepszej wierze. Kilka lat temu pewien Anglik o nieskazitelnej uczciwości, przywiózł sobie z Egiptu kilka nasion, które były bezwątpienia prawdziwe. Również nie ulegało kwestii, że liczyły sobie one po wiele tysięcy lat. Anglik ów zasiał te nasiona w swoim ogrodzie i ku wielkiemu zdziwieniu wydały one bardzo ładne rośliny, nieodróżniające się wcale od teraźniejszych odmian. Tymczasem, jak to się później okazało, ogrodnik wspomnianego uczone-

go, sądząc, że marnie wyglądające nasiona, przywiezione z Egiptu przez jego chlebobawcę nie przysporzą mu wielkiej pociechy, zasiał równolegle ze starymi nasionami także i zupełnie nowe, aby — jak się wyraził — nie zawieść nadziei swego pana.

Ziarna i nasiona wzięte ze starożytnych grobów egipskich, których autentyczność nie mogła być kwestionowana, zasiewano kilkakrotnie pod ścisłą naukową kontrolą i można już dziś z całą stanowczością powiedzieć, że nigdy żadne z tych ziarn nie wzeszło. Takie są fakty, które obalają wszelkie dotychczasowe legendy na ten temat.

Jak więc wygląda w oświetleniu najnowszej wiedzy diugowieczność nasion?

Jest to naturalnie zmienne, w zależności od rozmaitych typów nasion, ale nie zagłębiając się w szczegóły można podać dwa interesujące przykłady, cytowane przez dra Ramsbottom, kierownika departamentu botanicznego w Brytyjskim Muzeum Historii Naturalnej w South Kensington.

W rezultacie zniszczeń poczynionych przez naloty niemieckie na herbarium tego muzeum w roku 1940, nasiona wielu roślin zostały zamoczone, a m. in. i pewna odmiana mimozy, przywieziona z Chin w roku 1793. Pomimo długiego, bo liczącego aż 147 lat snu w herbarium, nasiona zakiełkowały. Nie jest to jednak jeszcze rekord. Nasiona świętego lotosu z nad Nilu Nelumbium Speciosum, zanurzone w roztworze kwasu siarczanego a następnie w wodzie, po kilku godzinach zakiełkowały i są obecnie hodowane w Kew Gardens. Ten okaz znowu został zebrany 37 lat temu. Jest to najdłuższy znany nam okres żywotności nasienia, który nie może być zupełnie kwestionowany. Wiadomo też, że pewne nasiona, tej samej rośliny wzięte

ze złóż torfowych w Mandzurii zakiełkowały, a wiek tych złóż ocenia się na 300 do 400 lat, chociaż dokładna cifra nie może być ustalona.

Nie wiemy, jak określić największą długość życia rasion, ani też nie umiemy wskazać żadnej granicy ich żywotności. Wiadomo tylko, że najbardziej wytrzymałe nie mogą normalnie wzejść po 200 do 300 latach. Najbardziej interesującym dowodem długości życia nasion lub zarodku było pewne doświadczenie poczynione przed laty, kiedy został odkryty grób Tutanchamena. Nie ulega żadnej kwestii, że grób ten nie był otwierany od przeszło 3000 lat, co dało możliwość stwierdzenia, czy zarodki bakterii, które są wysoce odporne, mogą przetrzymać 30 wieków uśpienia. Tak więc, gdy wnętrza komnaty grobowca zawierające złote ortalne dookoła królewskiego sarkofagu, zostały otwarte, zebrano ze ścian rozmaite drobnoustroje, nasiona i nawet jajeczka owadów, które wysłano do Anglii dla poddania badaniu bakteriologicznemu. Rezultat jego był całkowicie negatywny. Wszystkie były martwe. Ostatnia iskra życia zgłosiła gdzieś na przestrzeni tych 3 tys. lat.

W ten sposób wiedza pogrzebała wszystkie opowiadania o ziarnach pszenicy znalezionych koło mumii i o miokrobach powodujących straszliwe choroby, które mają żyć w grobach Faraonów. Naturalnie, byłoby znacznie bardziej ciekawe, gdyby te ziarna wydały żyjącą roślinę, albo gdyby bakterie dały się hodować na sztucznej kulturze. Wiedza zna jednak tylko jedną wersję opowiadania — prawdziwą.

Thomas Huxley powiedział kiedyś: „Tragedią jest piękna teoria zabita przez rzeczywistość“. W istocie podobne tragedie zdarzają się codziennie w świecie nauki.



LAJKONIK

Pamflet z morałem

Wielbił krzyk i pięść i krzepsę, wiersze pokryjomu zlepiął, już w dzieciństwie wielkim był, ale się z geniuszem krył.

Grunt to imię, grunt to sława: zna go Kraków i Warszawa, ćwierkają już głośno wróble, że był w Łodzi. Zna go Lublin.

Jeździć nigdzie się nie wstydzi, reklamuje: „Tani tydzień“ i prędko z walizki śmiało wyciąga literaturę całą.

Mówią o nim (lecz któż wierzy?) że swe dzieła metrem mierzy — wiersze, proza i dramaty? trzeba krytyk? — zna się na tym.

W „Lewym torze“ niezłym pożął szerszy się Bratnego proza. „Wies“, „Zdrój“ czy „Odrodzenie“, przyjmą go tam — jak w „Kamieniu“.

„Twórczość“, „Życie“, „Dziś i jutro“ bez Bratnego jakoś smutno. W każdym piśmie składał płody. że tak wszędzie — no, bo — młody.

Mówią także w tajemnicy, że pukał do bram „Kuźnicy“, lecz ta mu nie pozostała dłużną: — pukał, pukał, lecz napróżno.

Zadna siła go nie złamie w mistrzowskiej autoreklamie. I gdy na cześć swą wypisuje rzeczy sążniste — nikt w tym go nie zakasuje.

MORAL:

Ciesz się każdy redaktor z tego, gdy listu nie ma — Bratnego.

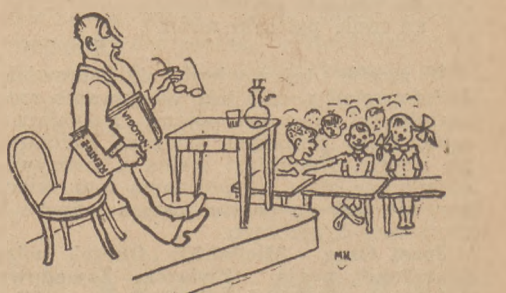
Jan Lipa



— A kiedy pojedzie pociąg w tamtą stronę?
— Wcale nie odejdzie. Tutaj chodzą tylko w jedną stronę. My mamy tylko „lewy tor“.



Gdzie Koty kuja, tam Papuga nogę podstawi.



POPULARYZACJA WIEDZY:

Obecnie, aby się dostać na Uniwersytet wystarczy szkoła powszechna, 5-miesięczny kurs przygotowawczy i chęć szczerą.

— Czy masz kartki kategorii?
— Nie, muszę żyć z szabru.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I-727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia“ Widok 24 B 07952

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5.